

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocz-  
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 8)  
miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.  
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

*Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za  
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-  
talnie zlr. 3; na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincji z prze-  
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgera i Spół. kwart. 5 marek.

## Cudze oczy.



„Rodzicom trzeba mieć względem  
swych dziecię serce *własne*, ale oczy  
*cudze*.”

*Trentowski.*

Niema nigdzie tylu omyłek, co wśród lu-  
dzi. Drzewa bardzo rzadko kiedy krzywią  
się i wyginają niekształtnie. Ptaki rzadko kie-  
dy łamią skrzydła, zwierzęta czworonożne je-  
szcze rzadziej kuleją lub garbacieją, a ludzie,  
ludzie tyle razy pod względem ducha są ka-  
lęcy, ułomni, garbaci, źli, szpetni i okropni.  
Czemu tak?...

Bo w wychowaniu, rodzice nie mają oczu  
cudzych względem swych dzieci i nie widzą  
zarodków wad, a więc i nie tępią ułomności  
się przejawiających. Z temi nikłemi zarodami  
małych wad, rosną dzieci w ludzi sławnych  
i dopiero wtedy „cudze oczy” świata poczy-  
niają widzieć wszystkie omyłki, zboczenia,  
krzywizny, garby, szpetności ludzi i wtedy  
poczynają wołać skargami ciągle powtarza-  
nemi:

— „Ludzie są źli, grzeszni, upadli, świat  
nie idzie ku wyżynom, lecz stacza się w prze-  
paś win i upadków!”

O!.. wielka to jest różnica oczu cudzych,  
a oczu swoich, oczu świata patrzącego na  
nasze dzieci, a oczu naszych, ślepych na te  
właśnie rzeczy, na które cudze najpilniej patrzą.

I słusznie woła Trentowski o to, iżby ro-  
dzice zawsze mieli „oczy cudze” dla dzieci swo-  
ich, bo wtedy potrafią prostować, gdy skrzy-  
wienie spostrzegą, wtedy będą leczyć, gdy  
ujrzą chorobę, wtedy upiększać będą się sta-  
rali, gdy spostrzegą brzydotę i plamy.

Lecz rozkaz taki filozofa nie łatwym jest  
do wykonania.

Jakże uczynić te oczy zaślepione, te oczy  
zamlęte przywykaniem i pobłażaniem, te  
oczy patrzące zawsze z jednej strony i wi-  
dzące zawsze w jednym świetle, jakże uzdro-  
wić je i uczynić, by były oczyma nie rodzi-  
ców, ale ludzi, — ludzi oceniających wady  
w swoich dzieciach?

Doświadczenie wykazało nie jednokrotnie iż  
tu i wielka inteligencya nie uchroni od  
omyłki, bo byli rodzice bardzo światli, którzy  
jednak wad swoich dzieci nie widzieli. Nie  
pomogą tu i przestrogi krewnych i przyjaciół,  
bo częstokroć za zwróconą uwagę następo-  
wały gniewy, obrazy i żale.

Oczy rodzicielskie niepojęcie są chore i dla-  
tego ludzkość strasznie choruje, bo z niele-  
czonych i niewidzianych wad tworzą się nieu-  
leczalne, ale niestety bardzo widzialne wady  
społeczeństwa, od których rozlewa się gorycz  
życia i ból gryzący łzami oczy.

Gdyby! o gdyby!.. powtarzamy raz po raz,  
gdyby ludzkość wyleczyć się zdołała ze swo-  
ich chorób i wad, jakżeby to bytowanie na  
ziemi było mniej ciężkie i trudne!.. Lecz  
nie rozważamy, iż przyczyną istnienia wad  
wszystkich jest to, że one nie są wykorzenia-  
ne wcześniej, że rozrastają się w olbrzymie  
krzewy i wtedy stają się nieuleczalne.

Aby wady u dzieci leczyć, potrzeba je wi-  
dzieć.

— Moja kochana, — powiada siostra, — twoja  
Manusia uparta jest strasznie, musisz ją le-  
czyć, bo potem źle będzie i jej i innym  
z nią.

A mamusia z obrażoną miną odpowiada:  
— Co ci się zdaje? Najlepsze dziecko! to  
nie jest upór tylko silny charakter, właśnie  
podoba mi się bardzo, stanowcza jest, będzie  
kiedyś dobrą gospodynią.

— Pani pieśzoszek zakrawa na smako-  
sza, — z uprzejmym uśmiechem powiada przy-  
jaciół, — uważam oddawna; tego nie je, tego nie

lubi, tego nie chce... o!.. ostrożnie z tem, bo  
ta wada później, w życiu...

— Uprzedzony pan jest, uprzedzony, — prze-  
rywa mamusia, uśmiechając się zupełnie swo-  
bodnie, — chłopak ma delikatniejsze poczucie  
we wszystkim, subtelniejsze ma wrażenia,  
nadzwyczaj dobre serce, otwarte, szczerze...

— Nie zaprzeczam, owszem, wierzę, ale wi-  
dzi pani, wczoraj przy obiedzie trzy potrawy  
mu przynoszono, dziś przy wieczerzy zmie-  
niał trzy dania... później, kiedyś, niech mi  
pani wierzy, w życia obowiązkach, takie na-  
wyknienie...

Mama czuje się bardzo dotknięta, — żeby  
też nie wyrozumieć, że to dziecko, no i cóż,  
tego nie lubi, woli tamto...

Jak oczy chore patrzą, niewidome się stają  
i takie początki garbów, krzywizn i oszpe-  
ceń rozmaitych nie są leczone wtedy, kiedy  
jeszcze są uleczalne.

— Zosia gniewliwa jest bardzo, — czyni  
uwagę nauczycielka, — trzeba dolożyć wiele  
starań, ażeby tę wadę wytepić.

— Co się też pani zdaje! — z ubolewaniem  
patrząc na biedną nauczycielkę, poczyną ma-  
ma. — To dziecko anielskiej dobroci, to złote  
serce, jak można nawet coś podobnego o niej  
pomysleć?!..

Tatusz, na zrobioną mu przez nauczycieli  
uwagę, iż syn jego „lampartuje się,” obraża  
się bardzo, jak można nawet coś podobnego  
powiedzieć!.. żywy jest chłopak, temperament  
ma ognisty, ale wady żadnej nie ma.

I najczęściej ci sami wszyscy, którzy u swo-  
ich dzieci nie widzą i nie poznają wad za-  
dnych, ci sami, patrząc na cudze dzieci, wy-  
tykają bardzo skwapliwie mikroskopowe nie-  
raz miny i nawyknięcia.

Jakże by dziwnie przedstawiły się im obra-  
zy własnych dzieci, gdyby nagle spojrzeli na  
nie cudzemi oczyma! Ileżby odkryli szpetnych  
wad, gdyby nie miłością, ale rozsądkiem oce-

niać zechcieli rozmaite rysy charakterów swoich dzieci!...

Bez zaprzeczenia dojście do tego stopnia wyższości pedagogicznej wymaga długiej pracy i ci, którzy chcą być rodzicami nie ślepi, ci umieją widzieć dzieci oczyma cudzemi, lecz są to wyjątki tem rzadsze, im więcej właśnie w wychowaniu naszym zostaje nawyknień złych, przyrosłych do całego kierunku wychowywania.

*Nicolay*, w dziele swem, „Dzieci źle wychowane,” powiada: „Wychowanie, tak, jak każde ludzkie dzieło, warte tyle, ile kosztowało.”

Tak, można powiedzieć, iż owo wyrabianie sobie ócz cudzych u rodziców kochających dzieci tyle przynosi plonu, ile kosztowało trudu, ale jeżeli mama koniecznie chce obstawać przy zaślepieniem twierdzeniu, iż widzi dobrze, a patrzy przez szkła zabarwione na różowo, to rzecz naturalna, iż trudu nie ponosi żadnego i nigdy nie obaczy tego mnóstwa wad u dzieci, jakie obcym oczom zdalka są widzialne.

Cóż więc radzić na uleczenie wzroku rodziców w ogólności, matek w szczególności?

Wyrabiać myśl psychologicznie tak, aby ona umiała chwytać rysy nawet najdrobniejsze i z nich zdawała sobie sprawę treściwie. Trzeba rodzicom stawać się psychologami doskonałymi, a wtedy oczy nie będą ślepe i myśl nie stanie się kulawą. Te oczy cudze, te oczy dostrzegające, nie tylko dobre strony charakteru dziecka, ale i złe, oczy te sięgające w głąb ducha i serca młodej istoty, one zdolają wszystko zrozumieć, poznać i ocenić, a więc i krzywizny do prostowania przedstawić.

I jeśli kto tylko psychologicznie kształcił się, ten z zachwytem powiada, iż głąb duszy ludzkiej ma tak oświetlony, jakgdyby wielką pochodnię tam znalazł i przy niej wszystko odczytywał. Największa w tem siła wychowania spoczywa i w tem najpierwsze źródło leków na wszystkie ludzkie wady, upadki i zboczenia.

Więc by mieć oczy dobrze patrzące na swoje dzieci, potrzeba znać ducha ludzkiego

i umieć w nim czytać. Tego nam niestety, brak ciągle. A ludzkość przez to chromą jest i nie dźwiga się z wad.

*Jadwiga z Z. Strokowa.*



*Maryan Gawalewicz.* ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Nagle postanowienie Jula wydawało się Eliziewiczowi takim szaleństwem, że mu uwierzyć było trudno, aby je rzeczywiście chciał wykonać.

— Powiedz, mój waryacie, na seryo wyjechałbyś do Warszawy? — pytał go z miną strapioną, jęklwym głosem, — tak sobie, łapcap, ni z tego, ni z owego spakowałbyś manatki i pojechał?... I miałbyś sumienie zostawić mnie tu samego?... A co jabym tu robił teraz bez ciebie? co?...

— Masz pan przecie codziennie gości aż za dużo!

Tabetyk strzepnął rękoma, jakby się opezdzał od owadów.

— Za dużo... za dużo!... nie chcę, mam dość tej hołoty. Nudzą mnie i tylko objadają!... Ja się z nimi nawet porządnie wyklócić nie mogę, a to mi potrzebne do zdrowia.

— Więc ja mam dla pańskiej żółci pozostać w Wiedniu?

— A co ci to szkodzi?... Komu ja będę od głupich wymyślał, jak ciebie nie będzie!... Widzisz!... Dla tej swojej jakiejś tam masz tyle serca, a dla mnie Łazarza ani odrobiny. Fe, wstydl!...

Trzymał go za surdut i skarżył się:

— Ja przecie jestem tu sam, jak kamień przy drodze; do połowy mnie już dyabli

wzięli, a resztę zepsują te konowały, co mnie leczą. Cóż ty myślisz, mój Dobrojewski, że ja nie wiem, co mnie czeka?... lada dzień strzyknie gdzieś tu, albo tu i nie będzie Saturcia. Z tobą, choć jesteś zwaryowany na punkcie miłości, jakoś mi znośnie. Ty mi przypominasz inne czasy, tyś także inny od tych wszystkich, przyzwyczaiłem się do ciebie, daję ci słowo; ja teraz nie mogę wytrzymać, jeśli cię trzy razy dziennie nie widzę. Widzisz Dobrojewski, widzisz, tak się ładnie nazywasz, a nie dobry jesteś!...

Zniżył głos i szeptem mówił:

— Po nocach to mi teraz jakoś głupio, czasem mi się wydaje, że po mnie już robaki łażą, a kiedy ty tu ze mną siedzisz i gadasz, to przynajmniej zapominam, że będzie koniec.

Julek z politowaniem spojrział na niego.

— Et, skrzypiące koło z pana!... będziesz pan jeszcze ciągnął całe lata.

Eliziewicz pokiwał smutnie głową i zaciął kurczowo powieki i usta.

— Zobaczysz, zobaczysz, że mnie wkrótce pociągną cztery szkapy na cmentarz!

Dobrojewski spróbował go rozweselić.

— Aż cztery?... po co tak dużo?... Jeden się nie utrudzi.

— Dla parady!... przecie muszę coś zrobić z temi pieniędzmi, które zostawię.

— To zapisz pan komu!... porób fundacye!

Eliziewiczowi brwi drgać zaczęły; potrząsał głową zaprzeczająco.

— Chcesz mnie wystrychnąć na filantropa!... nie głupim. Żeby mnie po śmierci z krzywą gębą pomieszczali w tygodniakach?... jeszcze czego!... potem powiedzą, że stary blagier umarł i komedję zagrał na odchodnem. Nie chcę; ale poczekaj, ja ci wyplatam figla, jeśli mnie porzucisz, poczekaj!

— Ciekawym, jakiego?...

— Już ja coś wymyślę!... zapiszę cały majątek na wydawnictwo twoich bazgrot i przykażę, aby niemi w piecu palili. Ja ci to zrobię. Takiego testamentu jeszcze nie by-

## POGAWĘDKA.



VIII.

Na Jasnej-Górze.

...Zdaleka

Widziałem ją ogromną nad nizin padolem,  
Jak zbliża się co chwila i znowu ucieka,  
A zawsze w stropie nieba tonie dumnym czo-  
[łem.

Pociąg pędzi i bucha obłokami pary,  
Do okien spieszą oczy, wychyla się głowa...  
Westchnienia i okrzyki — półszepoty i gwary  
Łączą się w jedno wielkie słowo: „Częstocho-  
[wa.”

I szedł ciągle przede mną ten szczyt niebo-  
[tyczny

W wiązań drzewnych osnuty gęstą płatani-  
[nę —

Patrzył z za węglów domów i z cieśni ulicz-  
[nej

I przez szarą ku sobie prowadził mieście, Kazał omijać wszystkie jej gwary i głusze,  
Drzewa, ludzi i gmachów okazałych sznury  
Aż przywiódł pod swe wały i w pokornej

[skrusze  
Rzucił mnie na kolana do stóp — Jasnej-Góry.

Podniosłem oczy zląkłe... Przedemną na wzgó-  
[rzu

Świątynia w blaskach słońca kąpała swe ścia-  
[ny...

Szereg kramików tuli się przy jej podnóżu,  
Dalej gromadka domów, plac ludem zalany,  
Wały, fosy i mury połamaną linią,  
Drzewa, trzęsące liści zwiędłych baldachimem

A po nad domy, dżewy i po nad świątynią  
W błękitach dumna wieża, ta, co jest olbrzy-  
[mem.

Powiedli mnie przez bramę w klasztoru po-  
[dwórze

Gdzie bruk schludny, jak świetne salonu po-  
[sadzki.

Nad wrotami zbrojowni osadzone w murze  
Działa i kul morderczych szereg świętokradzki,  
Mówi o dniach ogromnych, gdy na cichym

[wale  
Wrzał bój, grzmiały armaty, pienił się nurt

[bitwy,  
I dzielna garść obrońców na najeźdźców fale  
Sypała grad pocisków i szepty modlitwy.

I stanął mi przed oczy wielki duch Przeora,  
Co dziś mówi z tych wałów swoim cichym

[głazem.

I stanęło przed myślą to ogromne wczora,  
Co im dalej, tem żywszym przemawia wyra-  
[zem

I uczy, jako w świecie jeno w dobrej sprawie  
Jest siła, choć ją wesprzeć na kamyczku kru-  
[chym,

lo. Hm?... Całe twoje „Piekło miłości“ będzie przez długie lata gorzało w piecu!

Śmiał się z własnego pomysłu nerwowo, chrypliwie, aż mu ramiona podskakiwały, jak u tańczącego kościotrupa.

— Zrobię, zrobię to!... dam ci słowo, zrobię! — powtarzał, — niech się potem śmieją z ciebie w całej Europie!

Julek jednak nie wtórował mu śmiechem, spuścił głowę i spoważniał; jakiś cień smutnej zadumy padł mu na czoło i przykry, bolesny wyraz osiadł około ust.

— Cóż?... nie bawi cię to? — zagadnął go Eliziewicz.

— Z moimi bazgotami już się skończyło, — odparł z westchnieniem jakby rezygnacji i żalu.

— Łamiesz pióro?... co?... Już paniczowi literatura zbrzydła?...

— Cały świat mi obrzydł!

— Nie może być!... I czemuż to?... dlatego, że ona cię nie chce kochać?... Ładny numer z pana!...

— Odwrócił się od niego i przez ramię rzucał mu tylko zagniewane wejrzenia.

— Oto macie go!... to się nazywa literat, pisarz, człowiek z talentem!... A jakże!... Jeszcze sobie dobrze paleców atramentem nie powalał, a już talent zeszedł na psy. I ma tu literatura kwitnąć!... Zrobił jedno głupstwo, że taką powieść przerwał, teraz mu się drugie zrobić zachciewa. Et, świństwo!

Nachmurzył czoło, usta wydał i szemrał coś pod nosem.

— Poczekaj, ja cię urządzę, zobaczysz!...

Odgrażał się i krzywił przy tem niemilosiernie, ale z pod tej powłoki ztetryczenia i egoizmu zchorowanego tabetyka przebijiała wyjątkowa jakaś sympatya i życzliwość dla Julka.

Trudno mu było rozstać się z nim, bo nie chciał zerwać ostatniego, silniejszego ogniva, które go jeszcze na odchodnym z tym światem łączyło z jedynym człowiekiem, wyróżniającym się wśród tej zgrai pasoży-

tów, wyzyskiwaczy, albo zupełnie obojętnych osobników, którzy go otaczali.

Dobrojewski odczuwał i rozumiał powody, dla których stary dziwak tak usilnie zatrzymywał go przy sobie i pomimo tego, że go coś nieprzeparcie ciągnęło z powrotem do Warszawy, dał się w końcu namówić i pozostał jeszcze czas jakiś w Wiedniu, dotrzymując prawie wyłącznie towarzystwa Eliziewiczowi.

Mógł z nim rozmawiać o Misi i to mu wynagradzało poświęcenie, które zrobił, odkładając swój wyjazd; wiedział, że w Warszawie nie znajdzie i takiego nawet powiernika, że będzie musiał znowu zamknąć się w sobie i trawić, jak dotąd w uczuciu, z którego nikomu zwierzać się nie wypadało.

Do końca Czerwca przeto przeciągnął swój pobyt, odkładając z dnia na dzień przygotowania do podróży, tem bardziej, iż Saturecio coraz częściej ulegał atakom nerwowym, zmieniał nieustannie lekarzy i rzeczywiście potrzebował gorliwszej opieki w miarę tego, jak się stan jego pogarszał.

Początek Lipca zaznaczył się wielkimi upałami; zdarzały się dni tak gorące, że zdawało się, jakoby niebo nawet po zachodzie słońca ziało jeszcze tropikalnym żarem.

Warszawa była o tej porze nieznośną, z rozpalonych murów i bruków wydobywała się spieka i dławiący zaduch, w którym oddychać było trudno. Miasto się wyludniało, ulice opustoszały, szczególnie w porze dziennej, i dopiero wieczorami ożywiały się ruch w stronę Alei i Łazienek, do których ciągnęły tłumy przechodniów i szeregi powozów.

Tanieccy z konieczności, wobec spodziewanego rozwiązania Misi, bawili jeszcze w Warszawie, odkładając wyjazd na wieś lub za granicę dopiero po przyjściu na świat pierwszego dziecka.

Z obowiązku troskliwej matki i pani Pepa musiała się poświęcić na te „prawdziwe tortury“, jak powiadała; nigdy tak, jak właśnie teraz nie czuła dotkliwiej smutnej doli

„intelligentnej kobiety osamotnionej;“ odkąd całe jej towarzystwo rozpięchło się z nastaniem letniego sezonu a ona sama, zamiast w Ostendzie nad morzem, musiała siedzieć w tej szkaradnej Warszawie, którą można było kochać tylko w karnawale i przy znośnej temperaturze 16° Reaumura.

Miłość, według Maman Dobrojewskiej miała związek i z termometrem.

Ostatnie tygodnie wyczekiwania macierzyństwa stawały się dla Misi istną męczarnią.

Stawała się rozdrażnioną, niespokojną, nocie trawiła bezsennie, w dzień nie mogła sobie znaleźć miejsca, przenosząc się z pokoju do pokoju o zapuszczonych storach i firankach; twarz jej się zmieniła, jakby nabrzmiała, powieki opuchły, oczy w czerwonych obwódkach nabierały chwilami wyrazu ostrego, jakby przestachu i grozy, chwilami znowu powlekały się mgłą ogromnego znużenia i apatyj.

Cierpiała niewymownie, ale starała się nie okazywać tego po sobie i nie uskarżać się nawet przed swoim lekarzem, który ją codziennie odwiedzał.

Drażniło ją jednak wszystko, a szczególnie wizyty matki, która swoim zwyczajem najniezręczniejszą w świecie okazywała jej swoją troskliwość i współczucie.

— Ach, *ma chère Michette!* — ubolewała nad nią, — czy to się nigdy nie skończy?... wyście się musieli pomylić, *je l'assure*. Według mnie, to już dawno powinno być po wszystkim. Nie umiem ci wypowiedzieć, jak jestem tem zaniepokojoną i zdenerwowaną. Wczoraj omal nie zemdlałam dwa razy!... jak cię Kocham! Że też to musiało wypaść akuratnie w taką kanikule!...

Przyglądała się jej przez lornetkę i mówiła:

— Wiesz Michciu, że zmieniłaś się do niepoznania!... Kobiety w takim stanie nie powinny się pokazywać nawet mężowi. Natura jest barbarzyńską, że nam każe znosić coś podobnego!

I jako złą moc wszelką i wszelkie bezprawie  
Złamiesz słabym orężem, byle wielkim du-  
[chem.]

Potem świątynia stare rozwarła podwoje  
I wzięła nas do wnętrza. Patrzałem olśniony  
Na koronkę sufitu, na te gzymsów zwoje  
I na ten tłum człowieczy, dziwnie rozmodlony,  
I na płacz, co się w głosów piramidę spiętrza  
I bucha krzykiem strasznym: „O ratuj, Naj-  
[świętsza!“

Aż mnie nawą świątyni wiedli przewodnicy  
W głąb i pozostawili przed drzwiami kaplicy.

Pełna była po brzegi. Stałem u proga  
I spojrziałem na ołtarz. Właśnie obraz drugi  
Odsuwano, by odkryć lice Matki Boga.  
Odślonili... tłum jęknął... Runąłem, jak długi...  
Przez kaplicę przeleciał jakiś pomruk głuchy,  
Potem płacz, czasem łkanie, czasem krzyk  
[urwany,

I kruszyły się serca, korzyły się duchy,  
I rozpaczniemi skargi przemawiały rany...

I zniknął świat zewnętrzny przed ludzkiemi  
[dusze]

I każda jeno w własne spoglądała wnętrza  
I wplątana w tej wielkiej jęków zawierusze,  
Jeden wyraz znalazła: „O ratuj, Najświętsza!“

I nie było tam żadnych przeczeń i rozumów,  
Pryśła ich stal, rozwiała się chmura niewiary...  
Czułem, że duch mój spoił się z ekstazą tłu-  
[mów,

Że jestem, jak on cichy, pokorny i szary,  
Żem zbył się wszelkich zwątpień i w wierze  
[dziecięcej]

Garnę się do ołtarza i duszą i ciałem  
I wplątam jęk swój cichy do jęków tysięcy  
I wołam nim: „O ratuj, Najświętsza!...“  
...Płakałem...

\* \* \*

Ojciec Rejman dostojny przeor Paulinów  
Przyjął nas z tym uśmiechem, co mu z lic  
[nie znika,

I spojrzeniem, gdzie płonie na tle ognia czy-  
[nów]

Dobra, jasna, łagodna dusza zakonnika.  
Świeci i mądrość wielka. Ten zakonnik cichy,  
W prosty, biały swój habit ubogo odziany,  
Szeroką wiedzą mnogie poprzerał mnichy  
I myśli widnokretem wybiegł za te ściany.  
Świadom i starych dziejów i własnej epoki,  
Ludzi, prądy i sprawy zgłębił należycie,  
O wszystkim ma sąd własny, trzeźwy i głę-  
[boki]

I z ogromnej wyżyny spogląda na życie.

Spytałem o kompanie.

— Było ich — odrzeczę —  
Więcej, niż kiedykolwiek. Nie dziw, rok nie-  
[doli!

Gdy ludziom los dokuczy, a bieda dopiecze,  
Kiedy troski przygniotą i serce zaboli,  
Zapomną o tych lekach, które świat posiada,  
Zapomną o orężach, a im bój zaciętszy,  
Tem tłumniej spieszy tutaj cierpiąca gromada  
Po pomoc i pociechę do Matki Najświętszej.

Z pod wszystkich jej żalów i utyskiwań nad losem córki, odzywała się jednak miłość własna poświęcającej się „mondain'y,” której fatalność kazała pełnić obowiązki dobrej matki w Lipcu, podczas takich upalów i więzła ją w Warszawie z początkiem najpiękniejszego sezonu za granicą.

Któregoś dnia po całym szeregu piekielnych upalów przyszła nareszcie pierwsza upragniona burza i lunął deszcz, po którym z rozpiekłych bruków aż para ulatała w powietrze, jak w łaźni.

Ochłodziło się na chwilę, można było swobodniej odetchnąć nad wieczorem.

Misia otworzyła drzwi na balkon i w lekkim, puszczone szlafrocze wyszła pomiędzy swoje oleandry, by spojrzeć na niebo i na ulicę.

Bruki i kamienne flizy na chodnikach lśniły się spływającą wodą po gwałtownej ulewie; w powietrzu czuć było orzeźwiająco wilgoć.

Po nad dachami jak kolorowe wstęgi snuły się pasma promieni zachodzącego słońca, przetykając resztki poszarpanych chmur na niebie.

W bramie przeciwnego domu stał mężczyzna pod parasolem i wpatrywał się pilnie w balkon na pierwszym piętrze.

Z pośród oleandrów bielila się postać Misi, nie zważającej w pierwszej chwili obserwatora na dole po drugiej stronie ulicy; dopiero kiedy przypadkowo zwróciła na niego oczy, dostrzegła, że patrzy na nią i że po raz wtóry sięga ręką do kapelusza, aby jej złożyć ukłon powitalny.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Potem mówił z kolei o kościelnej wieży,  
Co po klęsce pożogi znów stoi na nowo  
I swym szczytem wyniosłym ku błękitom  
[bieży.

Straszna to była chwila, gdy w noc księżycową  
Płonął ten szczyt ogromny i rzucał w prze-  
[stworza

Krwawą łunę, a na dół grad iskier i głowni.  
Zbiegło się mrowie ludzkie, zaległo podwórza,  
Starczy, młodzież i możny z biedakiem na równi,  
Ratowali szczyt drogi i kochane mury...

Wiesć w lot pomknęła dalej i oto w godzinę  
Z okolicy wieśniacze nadciągnęły sznury,  
I jak mrowie zalały drogi i równinę;  
Za nimi z miast sąsiednich przybiegł tłum ro-  
[boczy,

I płynęły te fale przez pola i drogi,  
I biegł lament ogromny i płakały oczy  
I kurczyły się serca od żalu i trwogi.  
A wszystkie dłonie ludzkie za wiadra chy-  
[tały  
I niosły na ratunek do płonących wnętrzy...

## Et ego olim in Arcadia fui...



Z piosenki tęsknej echem  
Wysyłam duszę...  
Za wonnym stepów oddechem,  
Za lasów ciemnych szumem,  
Za drogich cieniów tłumem  
Wciąż tęsknić muszę...

Przed duszy oczyma stają  
Dziecięce lata:  
Powiewne mary wstają,  
Zawodzą ton radosny...  
Wonie, odgłosy wiosny  
W powietrzu drgają!

Raz tylko kwitnie na ziemi  
Eden uroczy;  
Barwami nęci cudnemi,  
Hymnem upojeń wybucha,  
Którego dusza słucha  
Ze skrzydły rozwiniętemi.

A potem... pryska i znika  
Cudne marzenie...  
Ciernie się tylko spotyka  
I głogi, co stopy ranią,  
I tylko nad otchłanią  
Błyska... wspomnienie.

Janina S.



## HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Gdy Wandalowie wpadli tylko po zbójec-  
ku, a obłowiwszy się rabunkiem, powracali  
do Afryki, inna dzicz sroga groziła Europie  
rozpanoszeniem się w niej na stałe. Atylla „Go-

degizil,” czyli „biez boży,” poprzemieszcza-  
wszy w zwyciężkim swym ze wschodnich kre-  
sów pochodzie plemiona Scytyjskie i Gockie,  
jak pionki na szachownicy, rozłożył swe ko-  
czowiska w pusztach Hungaryi, i ztamtąd,  
pomimo Katalańskiej przegranej, groził za-  
borem Europie. A zabór mongolski gorszym  
byłby od rzymskiego, bo Rzym dawał ujarz-  
mionym przez siebie ludom chociaż dobro  
względne — swoją cywilizację — w zamian za  
odjęte im dobro bezwzględne — ich swobodę;  
Atylla zaś ze swem złotem plemieniem, stale  
opornem kulturze, byłby zbudował na karku  
Europy jakieś barbarzyńsko-militarne impe-  
ryum, po rzymsku despotyczne, a dzikie po  
mongolsku. Ale zanim zdołał trwalej spoić  
owe różnorodne, grozą swego miecza w jedną  
kupę naprędce zbite plemiona, oto nagle za-  
skoczyła go śmierć w pełni sił, w połowie  
planów. A skoro tylko zabrakło tej umiejętnie  
twardej pięści, luźnie sklecone zjednoczenie  
podbitych ludów rozprysnęło się natychmiast,  
a sami Hunnowie, niby trzoda bez pastusze-  
go kija, rozproszyli się bez śladu wśród lic-  
znej rzeszy ujarzmionych przez wielkiego za-  
borec plemion.

Tak więc fakt przedwczesnej śmierci Atylli  
był jednym z tych wypadków dziejowych,  
które zmieniają postać świata; przyczyną zaś  
tego faktu — według bardzo prawdopodobnej  
opinii ówczesnych kronik — była znów obra-  
żona kobieta.

Pobiwszy burgundzkiego konunga, Atylla  
wziął w niewolę córkę jego, Hanryktę. Kró-  
lewna była piękną i dumną, wódz Hunnów  
uznał ją za godną włączenia do grona swo-  
ich kosookich małżonek. Gody wyprawione  
zostały z przepychem niebywałym w mongol-  
skim koczowisku. W drewnianym pałacu  
wodza i pod szatrami jego wojowników krą-  
żyły złote czasy z najwyborniejszym wi-  
nem, parzone pod siodłem mięso zastąpiono  
wołami z rożna, a dziką wrzawę — pieniem  
lutnistów. Ale nazajutrz z rana po nocnej  
uczcie weselnej znaleziono groźnego oblubiń-  
ca zastygłym trupem w krwią zalanej łożni-  
cy...

A wszystkie serca ludzkie krewby własną lały  
Na ratunek, na chwałę tej Matki Najświęt-  
[szej...

\* \* \*

Weszliśmy na szczyt wieży. Jeszcze rusztowa-  
[nie

Otacza ją dokoła. Kamień okrył boki.  
Wewnątrz schodów żelaznych misterne wiąza-  
[nie,

Na granitowych słupach stanął szczyt wysoki,  
Na nim cztery postacie świętych — wielkoludy,  
A z dołu ledwie widne, niby proszek mały.  
Całość — cud olbrzymiemi dokonany trudy —  
Odrodzona wieżyca z żelaza i skały.

Spojrzałem z tego szczytu, tam, na niezmie-  
[rzony

Przestwór nieba i ziemi.  
W górze szmat błękitu,  
Na nim obłoki białe, jak duchów legiony,  
Zdały się być tak blizkie, że chciałbyś ze  
[szczytu

Zerwać je, niby puszek. A niżej, jak sięga  
Wzrok — pola, niwy, wzgórkę, kępa drzewin  
[zrzadka,

Monotonnie wklęsają się w kres widnokręga.  
Gdzieniedzie wstęga lasu i chat cichych  
[stadka...

A bliżej miasto. Gmachy tak nikłe i drobne,  
Jak kamyki przydrożne. Wpółśród nich komi-  
[ny

Fabryk, cienkie i małe, do trzciniek podobne,  
Brudne oddechy dymu ślą tu do wyżyny.

Wśród pól zakłęsa smuga swym kształtem  
[uderza,

Pusta, szara, uboga, wśród niwy wspaniałej,  
Omijana przez ludzi, wżgardzona przez zwierza,  
Jak wykleta — to szwedzkie okopy i wały.  
Rozsypują się zwolna, wicher je rozmiata  
I z czasem zrówna z ziemią ich szare wyłomy,  
U stóp tej dumnej wieży, co ku niebu wzlata  
Potężniejsza nad wieków zawieje i gromy.

Artur Gliszczyński.

Analogiczny, chociaż co do swych następstw o wiele mniej ważny wypadek, zdarzył się nieco później, w tej samej epoce plemiennych wędrówek, wykazując tak samo poczucie indywidualności w kobiecie nie tylko już rozbudzone, ale czasami nawet posunięte aż do krwawego buntu przeciw męskiej przemocy. Ataulf, wódz Longobardów, pobiwszy króla Gepidów, zabrał—ówczesnym zwyczajem północnych barbarów—nie tylko państwo, skarbiec i wszelkie ruchomości zwyciężonego przeciwnika, ale nawet jego czaszkę, aby oprawiwszy ją w złoto, przy biesiadach swoich tryumfalnie upijać się z tej czary. A zabrał też Ataulf i córkę królewską, Rozamundę, i tę, rozumie się nie pytając o jej przyzwolenie, za małżonkę sobie pojął. Upokorzona królowna przez czas jakiś kryła w hardej duszy mściwą zawziętość swoją; ale gdy pewnego razu, podczas hucznej uczty rozochocony mąż kazał i jej także spełnić toast ze straszliwej czary, miara się dopełniła, tajona nieważnie buchnęła na zewnątrz serca—i potężny władca Longobardów padł pod sztyletem nasłanego przez młodą swą żonę mordercy.

Te i tym podobne fakty wykazywały, jak dalece zmienił się wzmówiony w kobietę starożytny pogląd na prawa posiadania jej osoby. Kobieta przestawała wierzyć, że ona sama do siebie praw żadnych nie ma, że osoba jej jest legalną własnością tego, czyja silna ręka jej wzięła dłoń pochwyty i przytrzyma. Przestawała uważać za słuszne i naturalne obejmowanie jej całej w bezwzględne posiadanie przez każdego mężczyznę, który chciał i mógł ją wydrzeć albo nabyć, albo pozyskać drogą umowy z kimś,—lecz nigdy z nią samą, ponieważ ona nigdy nie była swoją własną, lecz zawsze czyjąś. I zaczęła się buntować dusza kobieca, ujmując się za swoim ciałem, zaczęła protestować przeciw rozrzędzaniu niemu, bez brania w rachunek jej zezwolenia, a protest ten objawiał się rzewnemi łzami wydawanej za mąż oblubienicy, co tradycyjnie weszło w obyczaj europejskich ludów; w tych bowiem aż dotąd musi koniecznie płakać „panna młoda,” gdy u ludów wschodnich, wychodząc na znacznie cięższą dolę, nie spełnia jednak nigdy ceremonii oplakiwania swojego panieństwa. A gdy miększe i tkliwsze protestowały tylko łzami, znalazły się tak harde i twarde, że namiętne oburzenie popychało je aż do zbrodni. Tak więc na ogół łzy, a wyjątkowo nawet krew, zaświadczyły ocknięcie się kobiece, indywidualności, instynktownie dążącej ku temu, aby tylko za własnym, niewymuszonym przyzwoleniem stawać się poddanką miłości lub obowiązku.

Nie tylko w tym jednym względzie poczęła się wykazywać indywidualność kobieca w tej historycznej dobie, w tym czasie pasowania się zgrzybiałych potęg starożytnych z młodzieńczą siłą nowożytności, gdy upadały dawne państwa i dawne pojęcia, a powstawały nowe społeczeństwa i światopoglądy nowe, gdy kilkowiekowe pasowania się z sobą narodów zmieniało Europę w zapasniczą arenę, kobieta nie pozostawała całkiem po za szrankami dziejowych ruchów, nie stawała się—jak za starożytności—tem bardziej zniechęconą, im bardziej wojowniczymi byli

mężczyźni. Zmienił się bowiem charakter wojny o tyle, że to, co dawniej w trakcie akcji wojennej pozostawało w oddaleniu, teraz wysunęło się na plan bliższy.

Materyalnie bogata starożytność gromadziła skarby swe w zamczystych schówkach—za murami i basztami grodów—i razem z martwymi kosztownościami chroniła tak samo cenny inwentarz żywy—bydło, niewolników, kobiety. Tak wzięwszy pod klucz dobro swoje, właściciele sami szli do walki, na mury swego grodu—jeżeli wojna była odporna, pod mury grodu cudzego—jeżeli była zaczepną. Odosobniony od wszelkiej z ich działalnością wspólności żeński inwentarz, pozostawał w stanie zupełnej inercji, i z bierności swej nie wychodził nawet wtedy, gdy zwycięzcy, wyciąwszy zwyciężonych, przeprowadzali ich dobytek—bydło, niewolników i kobiety—do innego zamczystego schowania—własnego grodu.

Inaczej w początkach średniowiecza. Materyalnie ubogie plemiona łatwo zmieniały swe siedliska, a przemieszczając się ze starych siedzib na nowe, wszystko co miały, zabierały z sobą. Wywłaszczona przez silniejszego napastnika horda, zostawiała mu tylko ziemię, a idąc wywłaszczać z kolei jakie słabsze od siebie plemię, ciągnęła za sobą tabor swego bydła, żon i dzieci. Kobiety więc z konieczności były uczestniczkami przewrotów i ruchów swego plemienia, dzieliły nie tylko trudy mężczyzn, ale także ich wrażenia, a będąc ich walk świadkami, brały w nich udział nie tylko wzrokiem i sercem, ale nieraz także i ręką, uzbrojoną w kamień lub siekiere.

I wytworzył się ztąd inny stosunek wojownika do hartownej towarzyski, niż był wprzód—do miękkiej odaliski. Wytworzyła się też w kobiecie inna ocena siebie samej; zaczęła ona pojmować, że gdy wprzód miała tylko wartość, obecnie nabrała godności.

Silnym także czynnikiem w tym zwrocie obyczajowych pojęć była chrześcijańska idea moralnej równości kobiety, której legiony rzymskie bezwiednie torowały drogę wzdłuż i wszerz Europy. Chrześcijanizm z zasady swej jest prozelityzmem; wyznawcy zatem jego—tak liczni w wojsku rzymskim, nawet przed uznaniem go za religię państwową—szerzyli przy każdym zetknięciu się z pogańskimi plemionami swoje przekonania religijne i wypływające z nich moralno-obyczajowe, a za nimi przybywający misjonarze robili to samo systematycznie i celowo. A tak „nowina“ duchowego wyzwolenia kobiety razem z innymi „nowinami“ ewangelicznymi na skrzydłach rzymskich orłów rozniosła się po świecie; po tym świecie nowym, który jak pisklę ze skorupy jajka, wykluwał się z pęt rzymskiego panowania. Niszczył on wszystko, co starorzyskie, ale z noworzyskich pojęć przyswajał sobie bezwiednie niektóre, w łonie samego Rzymu nie dość uświadomione, a jednak tak w zarodkach swych żywotne, że wszczepiwszy się w ducha nowych ludów, rozwinęły się w nim i stały się częścią składową jego moralnych instynktów.

Właśnie jednym z takich, niby z powietrza danej doby zalegających się w umysłach pojęć, było owo milczące uznanie w kobiecie

jej właściwości po za płciowych—jej cech człowieczych, które sprawiało, że oprócz roli fizyologicznej, dozwolano jej spełniać jeszcze inne role, nieraz nawet społeczne i polityczne. Rozumie się, że nie wychodziło to z zasady równouprawnienia kobiety; zasada, jako taka, nikomu ani w myśli nie postąpiła; jednakże ukryta psychologiczna pobudka ujawniała się w socyalnych następstwach, bardzo nieraz podobnych do tak zwanej o wiele później emancypacji kobiecej.

Te pierwociny ucłowieczenia kobiety sprawiają, że w okresie gminoruchów spotykamy w historii—tak zawsze ubogiej w postaci niewieście—względnie bardzo wiele imion kobiecych.

Wypada choć pobieżnie zaznaczyć te imiona, przypomnieć te typy żeńskie, wybitne i samodzielne. Przejdźmy więc kolejną wieków przez okres przesiedlania się i kształtowania narodów, aż do ustalenia się nowych ustrojów i feodalizmu z rycerskością, a z licznego zastępu godnych uwagi kobiet, zauważmy chociaż takie, które najwięcej dobrego lub złego przyrzuciły na szalę dziejowych konsekwencji, wążąc losy ludów.

Najważniejszą działalnością społeczną, jaką wykonać może człowiek, jest pionierstwo idei. W okresie wczesnego Średniowiecza działalność ta była częstym,—najczęstszym może na tak szeroką skalę w całym ciągu dziejów—udziałem kobiety, a działalności tej przedmiotem był prozelityzm religijny.

Pomiędzy wiekami IV-ym a V-ym i IX-ym a X-ym doktryna chrześcijańsko-katolicka ogarnęła wszystkie nowo-sformowane państwa europejskie, a prawie każde przyswojenie jej przez dany naród, czy wynikało z jej duchowej, czy też z politycznej potrzeby, ostateczny i decydujący impuls brało z ręki kobiecej. Gdy lud,—niby łan zbożowy wichrem kołysany—chwiał się pomiędzy siłą przyzwyczajenia do starych wierzeń, a siłą uroku nowej wiary, gdy misjonarze wabili go słodyczą Baranka Bożego, a kapłani dawnych bóstw straszliwi piorunami Thora, na szalę wahań ludu padało rozstrzygające słowo monarchy,—a słowo to najczęściej wymożone na nim było przez żonę-misjonarkę.

Chrześcijańska księżniczka burgundzka, Klodylda, wychodzi za Klodwiga, pogańskiego króla Franków. Ten przebiegły i bezwzględny polityk-zaborca patrzy na religię swej żony, jako na dogodny pomocnicze narzędzie do wywłaszczania sąsiednich księżątek pogańskich, i radby go użyć, (ale jeszcze się wzdryga jego zabobonny nawyk, jeszcze jego wstrętu do moralnych więzów i form nowego kultu nie mogą przełamać perswazyje i namowy żony. Aż gdy wezwawszy w czasie ciężkiej bitwy pomocy „Boga Klodyldy,” odnosi stanowcze zwycięstwo, siła wrażenia przecina niepewności,—Klodwig ślubuje przyjąć chrześcijaństwo i w państwie swem zaprowadzić—i niebawem w 496 r.) dotrzymuje obietnicy. Wprawdzie jego zarówno chytra, jak twarda dusza pozostaje w gruncie pogańską; Klodwig przeprowadza naiwne-bezczelne kompromisy z moralnością chrześcijańską, naciąga ją, rozciąga, do interesów swych przystosowuje, a powierzchowne pełnienie praktyk religijnych daje na

Marya Łopuszańska.

## OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Ciąg dalszy).

VI.

### Z legend o Sakya-Muni.

#### 2. SUYATA.

Było to w czasach, kiedy Sakya-Muni udał się do lasu Uruvilva, aby pod cieniem drzew odwiecznych rozmyślać nad zagadką bytu.

W tej samej okolicy mieszkał rolnik, imieniem Kszama (Cierpliwy). Imię jego dobrze odpowiadało jego charakterowi. Był on prawdziwym rolnikiem, potomkiem owych pierwotnych Aryów, uprawiających z miłością ziemię rodzicielkę i bratających się z całą przyrodą. Pełen prostoty ducha i szczerzej wiary, pozbawionej niewolniczego lęku względem bogów, lecz oddającej im cześć, jako dawcom wszelkiego dobra; pracowity, brzydzący się kłamstwem i podstępem, żył Kszama spokojnie i szczęśliwie w swoim zakątku, oddalonym od świata, uprawiając rolę, tak, jak to czynili jego ojcowie. Rzadko kiedy widywał ludzi, bo wielka puszcza oddzielała go od nich; nie znając świątyni, modlił się pod szerokim sklepieniem niebios i pod baldachimem drzew rozłożystych, i nie wiedział o owych drobiazgowych, męczących przepisach, które panująca kasta bramińska skrupowała lud. On żył dotychczas tak samo jak żyli jego przodkowie, którzy byli zrazem rolnikami, wojownikami i kapłanami przy swem ognisku domowem.

Najwyższymi bogami zawsze pozostali dla niego: Indra, darzący ziemię życiodajnym deszczem i błyskawicami oczyszczający powietrze, oraz Agni, dobroczynny płomień rozweselający oczy ludzkie.

Małżonka Kszamy zwała się Suyata. Była ona również podobną do dawnych niewiast aryjskich, które razem z mężami odprawiały modły poranne i wieczorne i nie były jeszcze jego niewolnicami, jeno dostojnymi towarzyszkami. Miłowała ona swego małżonka całą siłą swego wiernego serca, a on jej również odplacał przywiązaniem; jedyną ich troską było, że po kilku latach pożycia, jeszcze dotychczas bogowie nie obdarzyli ich dziecięciem.

Pewnego poranku Kszama zabrawszy z sobą sługę, wyruszył w pole z plugiem, zaprzężonym w poważne wielkorogie woły, Suyata zaś pozostała w domu, krzątając się około robót domowych, jak przystało niewieście pracowitej i cnotliwej. Kiedy skończyła swoje zajęcia, udała się do lasu, bo chciała uzbierać purpurowego kwiecia kinsoku i przyozdobić nim mieszkanie, aby małżonek, gdy powróci z pola strudzony, mógł cieszyć oczy swoje widokiem świeżego kwiatu, przypominającego jej usta.

Słońce poranne jeszcze nie miało czasu wypić wszystkiej rosy z kielichów kwiatow-

wych; w zaroślach słyhać było słodki szczebiot „czakrawaki“, który jest symbolem wierności małżeńskiej. Suyata przechodząc około drzewa, na którym siedział, nasypała mu z uśmiechem nieco ziarna, bo lubiła bardzo tego ptaka, który nigdy nie rozłącza się ze swą towarzyszką i ginie z nią razem. Ona zawsze pragnęła umrzeć razem z Kszamą, za przykładem owych ptaków.

Jasny, potężny bóg Waruna patrzył z niebios przeczystych i błękitnych, jak woda jeziora. Drzewa stały ciche, jakby zasłuchane, kąpiąc wierzchołki w świetle i dając schronienie całym chórom ptaków, które spiewały hymny na cześć dobroczynnego bóstwa. Wszystko dokoła było jedną pieśnią radosną, więc i w sercu Suyaty wezbrało słodkie i uroczyste zarazem uczucie czci i miłości dla bogów wszechpotężnych, którzy napełniali sobą świat cały i chętnie skłaniali się ku prośbom ludzkim, darząc ich spokojem, dobrą myślą i weselem. Usta jej szeptały mimowoli słowa starożytnych hymnów na cześć Waruny: „Szerokim światom dał podporę, niebiosą osadził wysoko, posiawszy na nich gwiazdy wiekuiste. Powietrze napełnił chmurami; dał koniowi szybkość, krowie mleko,—sercu udzielił rozwagi, niebo obdarzył słońcem, a deszcz błyskawicą... Dniem jasnym kieruje, jak jeździec rumakiem...“

Czuła nad sobą, dokoła siebie,—na ziemi, niebie i w powietrzu unoszące się opiekuńcze postacie bogów, ich to oddech wonny płynął z powiewem wiatru porannego, który sam wszakże był ich technieniem; —ich to skrzydła przysłaniały chwilami oblicze słońca, aby jego promienie nie spaliły świeżej roślinności,—ich to głosy rozlegały się w przestrzeni, napełnionej światłem, mieszały się z szumem drzew i łoskotem strumieni...

Oto zaledwie znikła Uszas, jutrzienka różana, owa córka nieba, która zjawia się jako dziewczę rumiane w jaśniejącej szacie, kiedy na niebiosą wypłynął wspaniały Sawitar (budziciel), rozsiewając dokoła snopy złocistych strzał swoich... Oczy i serca ludzkie radują się na jego widok, a on darzy wszelki twór ziemski swem królewskim spojrzeniem.

Suyata czułaby się zupełnie szczęśliwą w ów cudny poranek, gdyby nie troska bezustannie ją dręcząca z powodu bezdzietności. Z pokorą też błagała bogów o obdarzenie jej jednym chociażby dziecięciem, aby mogła śmiało spojrzeć ludziom w oczy.

Temi myślami zajęta, coraz głębiej zapuszczała się w las, aż wreszcie ujrzała człowieka widocznie pogrążonego w głębokim rozmyślaniu, siedzącego u stóp olbrzymiego, rozłożystego drzewa. Był to Sakya-Muni.

Posty i rozmyślania zmieniły go tak, że nie zdawał się być człowiekiem, tylko jakąś istotą z innego świata, bo oczy jego posiadały blask nadprzyrodzony, a oblicze nabrało eterycznej przezroczystości.

Suyata ujrzawszy go, zatrzymała się, tknięta poszanowaniem i rzekła sama do siebie: „Jest to jakiś święty pustelnik, albo może bóstwo tej puszczy, gdyż z jego czoła zdaje się bić światłość, a oczy posiadają w sobie coś niebiańskiego... Musi być wielki i dobry—nie śmiem się do niego zbliżyć, ale jeśli bogowie spełnią moje prośby i obdarzą mnie

okup dalszych swych podstępów i gwałtów politycznych; nie dyskredytuje to jednak doktryny, pod opieką królowej misyjonarstwo szerzy się coraz bardziej, aż nowa idea podbija ostatecznie kraj cały.

W następnym wieku papież Grzegorz Wielki—najęższa siła moralna piątego stulecia—wysłał missyę na wyspy Brytańskie. Na dworze Etelberta, najznacniejszego z anglosaskich królów Heptarchii, misyjonarze znajdują gościnne przyjęcie, bo królowa Berta jest chrześcijanką. Przy gorliwym współdziałaniu silnej sojuszniczki, dzieło misyjne postępuje żywo; niebawem chrzci się król, dwór, rycerstwo,—a z tych górnych sfer szybko krzewi się chrześcijaństwo po całym państwie anglo-saskim.

Jednocześnie, za wpływem tegoż Grzegorza W., który chętnie sprzymierzał się duchowo z wybitnymi kobietami, w celach szerzenia wspólnie z niemi umiłowanej idei, Teodolinda, żona wojowniczego Agilulfa, króla północno-italskich Longobardów, pracuje nad pozyskaniem męża i ludu jego dla swojej wiary. Longobardowie już wprawdzie nie poganie, byli jednak tylko pół-chrześcijanami, gdyż trzymali się nauki Aryusza. Mądra Teodolinda prowadzi korespondencję teologiczną z uczonym papieżem, który przysyła jej ułożone przez siebie „DIALOGI“, zawierające argumentację katolicką przeciw arianizmowi. Z taką pomocą żona przedyskutowuje męża, i ten wyjątkowy mężczyzna uznaje się za przekonanego rozumowaniem kobiety. Agilulf porzuca arianizm, zostaje katolikiem i razem z żoną ludowi swemu apostołuje skutecznie.

W tymże czasie, t. j. przy końcu V-go w przechodzą także z arianizmu na katolicyzm hiszpańscy Wizygotowie, a wśród wewnętrznych walk stronnicych, które fakt ten poprzedzają, misyjonarze Grzegorza znajdują w królowej Ingondzie gorącą, aż do gotowości oddania życia za przekonanie—stronnicek.

W parę wieków później w cesarstwie Bizantyńskim dwie kobiety stają dwukrotnie na czele ideowego ruchu, i najpierw jedna potem druga nagina go do swoich przekonań, tamta używając srogiej przemocy, ta zaś łagodnej stanowczości. Były to regentki: Irena, matka Konstantyna IV-go, i Teodora, matka Michała III-go, które w czasie stuletniej walki religijno-politycznej stronnictw Obrazobórców i Obrazobronców, przywracając w cerkwiach ikony, a w państwie porządek, zasłynęły w historii, Irena—despotycznym fanatyzmem, Teodora—spokojną siłą cnoty. Obie podtrzymywały chwiejącą się jedność wschodniego Kościoła z Rzymem, obie też czynnie mieszały się do rzeczy takiej wagi w religijnym znaczeniu, jak zwołanie soboru Nicejskiego, które miało miejsce za inicjatywą energicznej Ireny, jak uchwały synodu Konstantynopolskiego, wydane z natchnienia pobożnej Teodory.

(Ciąg dalszy nastąpi).



dziecięciem, wówczas złożę mu ofiarę z mleka i ciasta...”

Nadszedł wreszcie ów dzień szczęśliwy, kiedy Suyata została matką.

Opowiedziała mężowi o ślubie, jaki uczyniła, a Kszama, wysłuchawszy jej opowiadania o pustelniku z puszczy, rzekł poważnie:

— Dobrze uczynisz, jeśli złożysz mu ofiarę, bo jeśli nie jest bogiem lasu, tedy musi być jakimś wielkim rischi, potężnym i świętym,— więc błogosławieństwo jego przyniesie szczęście naszemu synowi.

Suyata rada, że małżonek pochwała jej zamiar, wzięwszy dziecko i zaopatrzwszy się w dzbanek z mlekiem i ciasto świeżo upieczone, wybrała się niebawem do lasu.

Szła Suyata, przyciskając dziecko do piersi, a czysta, głęboka, niewysłowiona radość, połączona z łagodną dumą, zalewała jej serce. Gdyby jej ofiarowano koronę i wszystkie skarby, kryjące się w ziemi, nie byłaby tak szczęśliwą, jak dziś, gdy piastowała na ręku syna. Zdawało jej się, że drzewa pochylają ku niej głowy i kłaniają się, witając w niej dostojeństwo matki,— że cała natura patrzy na nią z radością i uwielbieniem; na nią, królową stworzenia.

Na gałązce ujrzała gniazdo ptasie; matka karmiła młode pisklęta, które wyciągały dzióbki i trzepotały się jeszcze nagie i słabe.

Suyata uczyła, jak łzy napływają jej do oczu na ten widok; gniazdko wisiało w powietrzu na tak wątlej gałązce, że wiatr silniejszy mógłby je zrzucić, a jednak ptaki z ufnością gnieździły się, nie bacząc na niebezpieczeństwa, które czyhały zewsząd: od sępów, od węzów, od wiatru i od złych ludzi. Matka nakarmiwszy małe, odleciała po nowy połów, a Suyata błogosławiła jej w duchu na drogę, mówiąc:

— Obyś je zdrowo i szczęśliwie wychowała; oby ci ich żaden sęp drapieżny nie porwał...

W zaroślach mignęła lania z małym koźlicem, które biegnąc, czepiało się piersi matczynej, a Suyata uśmiechnęła się do obojga i usiadłszy pod drzewem, podała pierś dziecku. Zdawało jej się, że ona i ta lania, zarówno, jak i owa samiczka, karmiąca swe pisklęta, są siostrami, że łączy ją z nimi jakiś tajemniczy węzeł...

Wreszcie znalazła się w pobliżu miejsca, kędy przebywał na rozmyślaniach Sakya-Muni. Już od trzech dni nie przyjmował żadnego pokarmu i siły go opuszczały. Suyata ukłękła i podała mu mleko i chleb, które go pokrzepiły; oczy jego spojrzwały łagodnie i z dobrocią na kobietę klęczącą, a ona zapytała:

— Czy jesteś bogiem tego lasu i czy moja ofiara jest ci przyjemną? Bo oto uczyniłam ślub, że jeśli mi się narodzi dziecko, wówczas ofiaruję ci mleko i chleb na znak mej radości. Dziś przychodzę tu z synem na ręku, który jest światłem moich oczu, błogosławieństwem moich dni, — aby ci złożyć przyrzeczoną ofiarę.

Sakya-Muni wziął dziecko na kolana i błogosławiąc je, położył mu dłoń na małej główce.

— Siostro moja,— rzekł,— bądź błogosławiona, boś mi powróciła życie! Ale powiedz

mi, czy życie wydaje ci się dobrem? Czy ci wystarcza żyć, kochać, a potem umrzeć?

— O święty rischi! — odrzekła Suyata z pokorą,— orzeł szybuje wysoko w niebiosach i patrzy prosto w twarz słońcu,— potrzeba mu więc dużo pokarmu, wody i szerokich przestrzeni... Mały ptaszek skryje się łatwo pod jednym liściem; kropla rosy i ziarnko pszenicy mu wystarczą. Mnie wystarczy miłować mego męża i przyglądać się w uśmiechu mego syna, który jest słońcem dla mnie i kroplą rosy... Wierzę we wszystko, co mówią święte księgi, i myślę, że ludzie natchnieni, którzy układali hymny święte, byli mędrsi ode mnie, bo widzieli bogów i rozmawiali z nimi,— oni im wskazali drogi wiodące do cnoty i spokoju dusznego. Wierzę, że Waruna sądzi, karze lub przebacza występki, które popełniamy tutaj; wierzę, że ze zła rodzi się zło, a z dobrego dobro...

— A śmierć, czy cię nie przestrasza?

— Czyż Yama potężny nie zjawi mi się przy śmierci, aby zaprowadzić moją duszę do kraju błogosławionych? Jeśli mój małżonek umrze przede mną, wówczas wstąpię na jego stos z radością, bo powiedziano jest, że żona, płonąc dobrowolnie na stosie męża, za cenę każdego włosa na swej głowie kupuje dla jego duszy po sto lat szczęścia. Dlatego tonie będę się bała umrzeć na stosie i dlatego myślę o śmierci bez trwogi... Chcę żyć dobrze, pełniąc wszystko, co do mnie należy, starając się mieć zawsze serce czyste, i nie troszcząc się o to, co będzie w przyszłości, bo wierzę, że wszystko, co się stanie, stanie się dobrze...

Sakya-Muni odrzekł jej na to:

— O niewiasto, w prostocie twego ducha mędrszą jesteś od tych, którzy nauczają! Niech pokój będzie z tobą, gołębicu, która za całą naukę masz miłość! Serce twoje czyste, jak kropla rosy, a w kropli rosy tak samo odbija się słońce, jak i w powierzchni oceanu. Bądź szczęśliwą i spokojną, jak dotąd, krocząc swoją ścieżką cnoty i obowiązku; — rośnij w ciszy kwiecie wonny, wraz ze słodkim dziecięciem u stóp twoich, bo palące słońce wielkiej prawdy nie jest dla wątłych roślin, które muszą żyć w cieniu, aż dokąd się nie wzmocnią. Kiedyś, w drugim istnieniu, i na ciebie przyjdzie kolej — i ty trafisz do źródeł poznania i wzniesiesz głowę ku słońcu prawdy najwyższej. Dziś, ciesz się życiem i pełnij dalej swoje ciche obowiązki. Obym ja mógł tak samo wypełnić moje! Ten, któremu oddawałaś cześć bożką, prosi cię z pokorą, byś mu tego życzyła, bo posiadasz mądrość życia, sama nie wiedząc o tem...

— Obyś je wypełnił! — wyrzekła Suyata, biorąc na ręce dziecko, które uśmiechało się do mędra.

I odeszła, wzmocniona jego błogosławieństwem, z sercem wezbranem wdzięcznością,— a Sakya-Muni pozostał znowu sam, aby dalej rozmyślać nad wiecznymi prawdami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Z LITERATURY FRANCUSKIEJ.



### Sprawa rozwodów i powieść braci Margueritte\*).

Gdy we Francji nowoczesna kobieta oddaje rękę nowoczesnemu mężczyźnie dla zawarcia „dozgonnego“ związku, to podobno przede wszystkim zapytuje siebie w duchu: jak ten węzeł w danym razie rozwiązać? „Normalne“ małżeństwo francuskie zaczyna się od ślubu, a kończy na — rozwodzie.

Prawodawstwo ułatwia śluby, natomiast chociaż przyjmuje, lecz utrudnia rozwody, ztąd wniossek, że prawodawca nie idzie za prądem czasu. Powinienby jednak sprzyjać postępowi, gdyż rozwody są przecież wyzwoleniem z „niewoli przeszłości“, — tak rozumuje przeciętny obywatel Trzeciej Republiki, mało się troszcząc, czy takie rozumowanie sprzyja etyce, religii, wymaganiom życia społecznego, bo z temi względami on nie chce się wcale liczyć. Jeśli istnieje jaka moralność, jaka obowiązkowość, to jest tak rozciągliwa, jak zużyte koło pneumatyczne samojazdu.

Według nowoczesnego obywatela przymusowe pożycie małżonków jest i nieestetyczne, i niemoralne, lecz przede wszystkim jest *nieznośne*, a to względ najważniejszy i przeważający na szali. Z rzeczami „nieznośnymi“ trzeba się przede wszystkim załatwiać radykalnie.

Paweł i Wiktor Margueritte, znani bracia syamscy w literaturze, od lat trzech prowadzą kampanię, nie za rozwodami, bo te istnieją, lecz za ich rozszerzeniem, wywdzięczając się w ten sposób obywatelom, którzy czytają ich patryotyczne powieści.

W dniu 20-ym Października r. z. wystosowali do Izby deputowanych petycję, w której biadają nad „niedostatecznością praw rozwodowych, nie odpowiadających już współczesnemu poczuciu sprawiedliwości i wolności.“ Te prawa są, według ich dowodzeń, „zardzewiałym mechanizmem.“

We Francji rozwód jest łatwy w takim tylko razie, gdy wiarołomstwo stwierdzono naocznie, albo gdy na jednym z małżonków zaciąży kara długoletniego więzienia lub galer. Ale o takie powody do rozwodu nie jest zbyt łatwo. Nawet mąż, najbardziej pełen uczuć rycerskich, nie zgadza się pójść do ciężkich robót, dla wyzwolenia swej żony od niemiłego z nim związku, albo umyślnie dać się zapać na gorącym uczynku.

Policya sprzyja ucieczkom. Wprawdzie istnieją jeszcze we Francji inne punkty do rozwodu, jak: zdrada, złe obchodzenie się, obrazy czynne. To grunt najwdzięczniejszy dla adwokatów; procesy wytaczane na takiej podstawie, ciągną się bardzo długo i kosztują bardzo drogo, a rezultatem bywa nieraz namowa trybunału do zgody. Nieraz na nic się nie zdadzą siłce, zadawane niekiedy umyślnie, w nadziei uzyskania rozwodu. Zresztą takie sposoby są brutalne; nie każdy chce bić i nie każda zechce być bitą, jakkolwiek obie strony mogą żywić nieklamana chęć odzyskania złotej swobody. Procesy ujawniają skandale, wydobywają na wierzch tajniki domowego pożycia, adwokaci nabijają kabzy, dzienniki rozwałkują szczegóły... „Pani baronowa była ćwiczona spierutą“ i t. p. Nie dziw, że wobec tego wytworny pan baron woli zaniechać sprawy rozwodowej i żyć dalej z niemilą żoną. Już chyba lepiej zostać schwytanym *in flagranti*—i to nie jest przyjemnem, ale wytworniejszem (!) od brutalnej bijatyki, a w dodatku—pewniejszem. A więc pan baron, przez grzeczność dla pani baronowej urzęda odpowiednią scenizacyę.

\* „Les deux vies“, powieść braci Margueritte.

Są w porozumieniu; oboje chcieliby uniknąć skandalu—cóż zrobić, gdy niema innej rady, gdy prawodawstwo szwankuje w tym względzie.

Bracia Margueritte znajdują na to sposób:

„Do małżeństwa—piszą—wchodzimy przez drzwi naoszczędzone, ale choćbyśmy dusili się w atmosferze tej instytucji, wyjść z niej nie możemy inaczej, jak przez drzwi boczne.“ Dowodzą dalej, że należy zacieśnić wstęp, a rozszerzyć drogę wyjścia. Według nich idealnym powodem do rozwodu byłaby obustronna zgoda małżonków (consentement mutuel). Wszak dobrowolnie bierze się na siebie jarzmo małżeńskie, więc może i dobrowolnie zrzucić je będzie wolno. Nie tłumaczą się przed nikim, dlaczego się pobierają—i nikomu nie do tego; nie powinni też tłumaczyć się przed nikim: dlaczego się rozchodzą, bo nikt nie ma prawa w to się mieszać (!). Wystarcza, że nie mogli żyć z sobą. Jeżeli istnieją małżeństwa oparte na inklinacji, na zobowiązaniu ku sobie skłonności, czemuż nie mają istnieć rozwody z braku skłonności ku sobie—*Mariage d'inclination. Divorce d'inclination* (to nawet ładnie brzmi).

„Takie określenie,—dowodzą dalej panowie Margueritte,—nie jest paradoksem, jakby się mogło wydawać. I dziś już istnieją *skłonnościowe* i *pociągowe* rozwody, lecz prawo ich jeszcze nie uwzględnia, dlatego strony interesowane muszą je pozorować udaną brutalnością i sztucznie zorganizowanymi skandalicznymi scenami.“

Bracia Margueritte nacierają na szaniec prawa w nadziei zrobienia w nim wylomu na korzyść rozwodów „ze skłonności.“ Po tamtej stronie sąhnca „filistrowie“ pytają: „Skoro każdy będzie mógł każdej chwili otrzymać rozwód, to po cóż właściwie zawierać małżeństwa?“ Takim wzruszając ramionami odpowiada się, że nowoczesna kobieta i nowoczesny mężczyzna dbają o pozory, że zapewne „wolna miłość“ byłaby „wygodniejsza“ w innym ustroju społecznym, ale w obecnym wzbudza *uprzedzenia* (!). Trzeba się z niemi liczyć, żyjąc w świecie. (Wszak chodzi tylko o ludzkie sądy, nie zaś o rzecz samą w sobie, ani o t. zw. „godność osobistą“). Jeśli „filister“ odpowie na to, że małżeństwa z rozszerzonymi drzwiami wyjścia nie są niczem innym, jeno „wolną miłością“, usłyszy w zamian, że jest to, bądź co bądź, wolna miłość „ulegalizowana“, a to rzecz zupełnie inna (!).

„Ale *consentement mutuel* nie rozwiązuje całej sprawy. Panowie Margueritte posuwają się jeszcze dalej na obranej przez siebie drodze. Po co—mówią—życzenie *obu* małżonków ma rozstrzygać o rozwodzie—czyż wola *jednego* nie wystarcza? Jeśli naprzykład żona po ślubie odczuwa wstręt do męża, a on nie chce się jej wyrzec, bądź z miłości, bądź z interesu, czy dlatego nieszczęśliwa ma być „dożywno“ przykuta do jednej z nim taczki? To los okropny.

Projektodawcy domagają się przeto, aby wprost wola jednego małżonka była uznawaną za dostateczny powód do rozwodu, jednak pod warunkiem wspaniałomyślnym dla drugiej strony, że będzie wyrażona trzykrotnie w rocznych odstępach czasu.

„Obowiązkiem Izby republikańskiej,—wołają w zakończeniu swej petycji,—ułatwić rozwiązanie dobrowolnie zadzierżgniętego węzła, zapewnić jednostce swobodę, której domaga się i natura, i poczucie sprawiedliwości.“ Czemuż nie chcą uwzględnić praw drugiej strony, pragnącej zachować „kajdany“ małżeńskie,—tego nie motywują.

Jak widzimy, według Pawła i Wiktora Margueritte, małżeństwo wtedy tylko jest możliwie znośne, gdy nie krepują go żadne prawa, nawet te, które obowiązują zwykłe umowy. Znany im jest naturalnie Montaigne, który twierdził, że małżeństwo podobne jest do kojca: kury, będące na swobodzie

gdaczą, chcąc koniecznie wejść, te, które siedzą w kojcu, chciałyby się gwałtem wydobyć na swobodę. Bracia chcą rozszerzyć pręcioki kojca, ale w takim razie kojec przestanie być kojcem. Że małżeństwo przestanie być Sakramentem, o to nie troszczą się autorowie, co ich może obchodzić prawo Boże, co ich obchodzi porządek społeczny, byle *uczuciom*, a właściwie zachciankom stało się zadość. Co bardziej w nich dziwi, to, że nie chodzi im o dzieci, niewinne ofiary, które ucierpiałyby najbardziej na takich matrymonialnych wybrykach. Paweł i Wiktor Margueritte, tak czuli na los niedobrych stadel, nie wruszają się niedolą istot bezbronnych i nie odpowiedzialnych za *skłonność* lub brak skłonności ku sobie rodziców biednych dzieci, które musiałyby ponosić smutne skutki owych ułatwień rozwodowych. Ojciec żeni się powtórnie, matka wychodzi za męża, dzieciom zostaje wybór pomiędzy ojczymem a macochą. Miła perspektywa! A jeżeli w drugim małżeństwie okaże się znowu brak „pociągu“ i nastąpi rozwód ze skłonności *un divorce d'inclination*, a po nim trzeci ślub, dzieci powędrują do macochy Nr. 2 lub do ojczyma *bis*. Ale co to może obchodzić panów Margueritte! Oni są wyznawcami zasady, że każdy powinien troszczyć się tylko o swoje osobiste szczęście. Domagają się dziś rozwodów dla braku skłonności, jutro gotowi twierdzić, że rodzice mają o tyle obowiązki względem dzieci, o ile te dzieci są im sympatyczne lub nie. Zapewne zechcą i taką teorię osłonić względami.. o dobro społeczne, tak, jak usiłują usprawiedliwiać i popierać najniższe instynkty natury. Poznaliśmy już ich argumentację na polu wniosków prawodawczych.

Przyjrzyjmy się teraz, jak panowie Margueritte bronią swych paradoksów już nie przed trybunałami Izby, lecz wobec czytelników, na kartach ostatniej swej powieści:

Oto jej osnowa: dwie kobiety kolejno matka i córka—cierpią skutkiem nierozzerwalności związków małżeńskich: jedna „poddaje się okrucieństwu prawa, druga stara się wyłamać z pod niesprawiedliwości praw.“ Gabryela Lehagre (matka) po paromiesięcznym pożyciu z mężem, przekonywa się, że jest oszukiwaną haniebnie i żąda rozwodu. Mąż nie chce nań zezwolić, chodzi mu o posag żony, którą poślubił na zasadach wspólności majątkowej. Sprawa wleceze się, a tymczasem wynika niespodziewana komplikacja: sześciolatnia córeczka państwa Lehagre, podczas odwiedzin w domu ojca, zawarowanych prawem, łamie rękę, matka dąży do niej i czuwając przy jej łóżu spędza noc pod dachem męzkim. To wystarcza, aby, według litery prawa nastąpiło pojednanie. Dalsze kroki rozwodowe są uniemożliwione. Gabryela poddaje się, cierpi, wreszcie mąż jej umiera. Po wielu, wielu latach, rozkochuje się w człowieku, młodszym od siebie o lat kilkanaście, lecz zrażona już do małżeństwa, poślubić go nie chce, pomimo jego próśb i zaklęć. Czy i temu winny prawa rozwodowe? czy po najszcześniejszym pożyciu z pierwszym mężem uczciwa kobieta czterdziesto-kilko-letnia, zgodziłaby się przykuć do resztek swojego życia młodość ukochanego? Tem nie mniej autorowie kładą to zaparcie nie na karb szlachetności i rozsądku swej bohaterki, lecz przed trybunał sądu czytelnika pozywają prawo rozwodowe. W dalszym ciągu powieści usiłują obarczyć je nowymi zarzutami. Córka tej nieszczęśliwej kobiety, Francina, wychodzi za męża, i, naturalnie, trafia na łotra, w rodzaju swego ojca; tak samo, jak matka doznaje zdrady, wiaromstwa, lecz nie jest skłonną do zaparcia się i rezygnacji. Wstrząsa kajdanami, lecz zerwać ich nie może. I znowu bracia Margueritte mają pole do tkliwych jęków i skarg na prawo rozwodowe. Sąd uchyla podanie Franciny; nieszczęśliwa ofiara w toku procesu

poznaje człowieka, który ją „godzi“ z mężczyznami, ona sama „godzi się“ łatwo z myśłą oddania mu serca bez ręki—skutej owem bezlitosnem prawem. Ucieka z nim za granicę i bierze ze sobą córeczkę, która zapewne także znajdzie męża łotra, będzie się z nim rozwodziła,—to już atawistyczne,—ale na szczęście dla czytelnika, bracia Margueritte nie opowiadają tego „trzeciego“ życia. Mamy dosyć dwóch. Niedola matki i córki, nad którą załamują ręce i ronią łzy na trzystu stronicach, nie dowodzi potrzeby rozszerzenia drzwi wyjścia, albowiem utrudnienia rozwodowe w sprawie matki zostały rozwiązane w sposób naturalny przez śmierć jej męża. Rozwód z „braku skłonności“ nie pomógłby Gabryeli, która poznała swego ukochanego, będąc wdową. W sprawie Franciny winnem jest nie prawo, lecz jego wykonawcy. Bracia Margueritte dają nam smutny obraz sędziów; ich książka może raczej służyć jako przyczynek do znanego dramatu Brieux'a p. t. „Czerwona toga“, niż jako akt oskarżenia przeciw obecnym prawom rozwodowym we Francji. Jeden sędzia z zasady obala wyroki swoich poprzedników,—na sąd drugiego wpływają jego organy trawienia i wymowa prokurator-ska: stosownie do tego, czy jest nudnym, czy zabawnym, pan sędzia uniewinnia lub potępia; trzeci przedewszystkiem waży na szali, która ze stron ma większe stosunki i wpływy. Sędzia śledczy zmienia i przeinacza zeznania świadków stosownie do tego, czy ich słowa pochlebiają jego miłości własnej, lub ją ranią. O ile takie sylwetki są wzięte z życia, o to niech się sądy paryżkie prawują z autorami, niech o tem rozstrzygają miejscowe dzienniki. Stan sądownictwa we Francji obchodzi nas zdaleka; natomiast żywo i bardzo żywo, w poczuciu religii i moralności dotyczą nas zamachy pp. Margueritte na nierozzerwalność małżeństwa, które jest dla nich krótko lub długotrwałem zobowiązaniem, dla nas—Sakramentem.

—c3.—



## Dwie opinie.

(GLOSSY O SZTUCE).



Patrzałem z zachwytem w wystawioną obecnie u Krywulta przedziwnie delikatną „główkę“ Andrychiewiczza, gdy nagle usłyszałem za sobą słowa:

— Patrz, Zosiu, co za bohomaz; po co takie panny z blednicą w ogóle malują?

Krańcowa różnica zdań — pomyślałem. — Mnie się ten misterny, z szczerem sentymentem i tak bardzo wiernie malowany obrazek podoba, a ten pan, mający wszystkie cechy licznie rozrodzonego typu, tak go bezwzględnie potępia.

Czy ja mam rację, ja, któremu się ta bleda główka podoba, czy ten typ. Czy ja i czy wszyscy liczni, którzy umieją się cieszyć niekrzykliwym pięknem szczerze odczutychemalowideł są w większości, czy ten typ i jego liczni krewniaci, oceniający dzieła sztuki ze stanowiska... blednicy?

\* \* \*

...Zadawałem sobie trud patrzeć na olbrzymie płótno Francuza Bergès'a. zatytułowane: „Wśród bomb i granatów.“

Ten pan w ząbotach, to operetkowa figura — myślałem. — Szwoleżerzy bez wyrazu. Ten jeden Hiszpan, choć żywe i mocne, stanowczo niema głowy. Gdzie jego głowa?... Aha, ta wsparta nosem o tarczę; ale ona stanowczo za daleko od swego domniemanego korpusu... Straszny „knot“, jak mówią mala-



rze, ten obraz. Plótno, jakby malowane na dekorację do jakiegoś teatru... drugorzędne... Jedynie akt ciężko rannej kobiety malowany z francuzką pieczołowitością. Za to druga Hiszpanka z wysoko rozwianą spódnicą, bardzo nieestetyczna. Zwłaszcza efekt oświetlenia jej nóg nagich od spodu blaskiem pękającej bomby, niesmaczny, nieestetyczny, brutalny...

Nagle znowu usłyszałem głos surowego krytyka „główki“ Andrychiewicza:

— Zaraz na pierwszy rzut oka widać, że to wielki malarz ten Francuz. Jaki to ruch, jaki rozmach. A ta kobieta nad bombą śliczne ma nogi...

— Tylko mi się tak nie patrz, to nieprzyzwoite.

— W sztuce niema nieprzyzwoitości.

Między zdaniem mojem, a zdaniem „typu“ była znów cała przepaść. Mnie się nie podobał Bergès, on się nim zachwyca. Kto ma rację?

A może Francuz lepiej wie, niż Andrychiewicz, czego chce „publiczność.“ Ale czy trzeba słuchać „publiczności,“ czy ona jest nieomylną? Zresztą ja też jestem częścią „jakiejś publiczności,“ takich jak ja, jest przecież także dużo... Która tedy „publiczność“ zapatruje się na sztukę słusznie, czy złożona z takich jak ja, czy z takich, jak wielbiciel Bergès'a.

\* \* \*

Byłem bardzo ciekawy usłyszeć zdanie „typu“ o monachijskim malarzu W. Kandinskim. Prace tego artysty, to jakby prace dwóch ludzi. Jedna grupa jego dzieł, to szczere impresye z natury. Patrząc na nie ma się wrażenie, że przy ich powstawaniu przewodnikiem fantazyi malarza było istotnie zrozumienie piękna natury. W malowidłach tych — mam na myśli krajobrazy monachijskie artyści — niema ani sztuczek, ani spekulacji na efekt, ale jest istotne piękno, istotna harmonia między duszą artysty a naturą.

Druga grupa natomiast — możnaby jej dać nagłówek: krajobrazy fantazyjne, — to wprawdzie bardzo efektowne rzeczy, ale przytem tylko poza, forsowanie się, aby stworzyć coś, co hołduje secesyonistycznej modzie. Szczerości w malowidłach tej drugiej grupy ani odrobiny. Artysta, tworząc te fantazyje, tworzył według szablonu monachijskiego, ale dusza jego w tych zaświatach pięknych krajinach nie była, tych zaświatowych krajin w podnieceniu twórczym nie widziała. Ta druga grupa malowideł Kandinskiego, to nastroje tworzone na zimno, i dlatego też widz, patrząc na nie, pozostaje zimnym.

Bardzo byłem ciekawy, co mój „typ“ powie o Kandinskim, czy da się zwieść efektownemu blichtrowi bez duszy, czy może ta pierwsza, ta szczerza, choć skromna i nie krzykliwa grupa przemówi do jego duszy. Co zyska sobie jego uznanie: blaga, czy sztuka?

„Typ“ rzekł krótko węzłowato: Te widoki z Monachium „ujdą,“ ale ta jakaś tam „Przejażdżka“ czy „Przechadzka,“ to... „stara sofa.“

Miałem ochotę uściskać „typ.“ Kapitalne powiedzenie: „stara sofa!“, a o szczerych obrazkach powiedział przynajmniej „ujdzie.“

\* \* \*

Przed grupą obrazów Amelii Palecznej zatrzymał się „typ“ dłużej i mówił:

— Nie lubię „babskiej sztuki,“ ale ta Paleczna, to wcale, wcale... Przynajmniej człowiek wie, czego ona chce i możnaby w salonie powiesić bez obawy, że dzieci będą stawiać pytania, na które trudno odpowiedzieć... Ta panienska, co się skrada do róż, bardzo miłutka. Ta ogrodniczka nie zła, i ta co się przegląda w beczce wody, także wcale dobra. Słowo daję, na to można patrzeć z przyjemnością. Nawetbym może kupił, gdyby nie to, że już dałem zadatek na automobil. Aha, à propos automobilu...

\* \* \*

Już dalej nie słuchałem wywodów „typu.“ Siadłem naprzeciw ślicznej „główki“ Andrychiewicza, usiłując wysnuć wnioski z usłyszanych przypadkowo uwag.

Twojej cichej, niekrzykliwej piękności „główki“ — myślałem — nie uznał „typ.“ A może ty nie jesteś „pięknem,“ bo „pięknem“ jest to, co za piękno przez większość jest uważaniem, a „typ,“ reprezentant większości, wzruszył ramionami obojętnie, przechodząc koło ciebie

A może to kłamstwo konwencyjonalne, ten określnik, że „pięknem“ jest to, co się „większości“ podoba? Jeżeli zaś tak, to czemuż jest „piękno?“ Jakimi słowy określić pojęcie piękna?

„Pięknem“ jest to, co do duszy przemawia. Nieprawda, — to też kłamstwo konwencyjonalne. Piękna praca Andrychiewicza mnie poruszyła, a reprezentant „typ“ odmówił jej wszystkich zalet.

A więc jakies inne jest kryterium. Pięknem jest coś innego. Co?

Pięknem jest każda indywidualna, piórem, pędzlem czy dłutem poczyniona „notatka“ jakiegos wrażenia, jeśli to wrażenie zdołał artysta odtworzyć bez rażących błędów technicznych i jeśli ono, co najważniejsza, istotnie było szczere, istotnie odczute.

Powyższe określenie może chroma niedokładnością, nieudolnością, ale kto wie, czy w przybliżeniu, nie charakteryzuje dobrze pojęcia „piękna“ w epoce, w której cała ludzkość wzorem Zarathustry pali „indywidualizmowi“ balwochwalece hekatombę.

Naturalnie, że już „jutro“ pojęcie piękna może być zupełnie innym, bo równie jak i duch ludzki i jego wszelkie objawy, więc i sztuka są w bezustannym rozwoju.

Ta zmienność sztuki sprawia, że bardzo liczną jest zawsze rzesza „maruderów ducha,“ którzy zapatrzeni w dawne ideały, nie umieją pojąć, że nowe ideały nie są zanikiem sztuki, lecz jej rozwojem, metamorfozą wiecznie jednego piękna, któremu na imię: prawda, szczerłość!

„Typ,“ nie umiejący odczuć cichego piękna „główki“ Andrychiewicza, a zachwycający się szablonową poprawnością Palecznej i niskimi efektami rozreklamowanej cudzoziemczyzny, to jeden z nieśmiertelnej rodziny tych „maruderów ducha,“ którzy dziś urągają „nowej sztuce,“ a w zaraniu romantyzmu powtarzali z złośliwą radością ironiczne parafrazy „Dziadów“ Mickiewicza.

Gilbert.



## PSYCHOLOGIA MODY.

Z niemieckiego podług W. Fred'a.

(Z cyklu głośnego dzieła „Sztuka,“ wydawanego przez Ryszarda Muther'a).



### V.

Kult nagości. — Różnica pomiędzy nagością a rozebraniem. Starożytność wielbi zewnętrzną piękność kształtów, ale nagość ówczesna jest tylko artystycznie piękną, nie rażąc uczucia wstygu. — Wieki średnie potępiły kształt zewnętrzny, a więc i nagość. — Dlaczego? — Odrodzenie. — Adam i Ewa u Kranacha i Dürera. — Sztuczność stroju zastępuje piękność aktu w epoce rococa. — Erotyka XVIII i XIX-go wieku. — Wspólność pomiędzy modą pewnej epoki a stylem. — Przykłady. — Wpływy wzajemne przy niezbadanem źródle, z kąd i kiedy jedno i drugie początek wzięło.

Nie tylko stroje podlegają kaprysom Mody; nie tylko piękność sama dostraja się do stylów epok przeróżnych, przez co odmienne ich rodzaje stają się również modnymi — na-

wet wymagania co do nagości bywają odmienne. Uwzględnić przytem należy, nie tylko różnicę pomiędzy nagością a ubraniem, ale i różnicę pomiędzy nagością artystyczną i estetyczną — a rozebraniem. Bywają epoki, w których zanika całkiem kult piękna, zwanego po malarsku „aktem,“ wówczas ocenia się ono tylko podług stroju, pod którym znikają kształty, a niewieści wdzięk kryje się pod sztucznymi przyborami toalety.

Pojęcie piękności klasycznej znajduje wyraz przedewszystkiem w „akcie.“ Nawet ubiór grecki jest tak lekkim i przejrzystym, że pod nim czuć zawsze wyraźną linię ciała. Nie razi to bynajmniej starożytnych, nie gorszą się tem wcale, nie uważają tego za bezwstyd. Piękność i harmonia kształtów wielbi się i ceni zarówno u Apollina i Afrodyty, jak u żywych modeli, z kąd sztuka wzór do nich czerpała, zwłaszcza do tej ostatniej. Nikt nie mówił: „shocking“ jeśli piękna Fryne zrzuciła swe szaty wobec sędziów, aby ich o nadzwyczajnej doskonałości swych kształtów przekonać. I nikt niema za złe sędziom, jeśli się za pomocą tak drastycznego środka przekonać pozwolili. Kiedy przed Sokratesem wielbiono skończoną piękność pewnej Atenki, podszedł do niej w towarzystwie swych uczniów, poprosił ją, by zechciała mu dowiedzieć, czy opinia ta jest rzeczywiście uzasadnioną, a kiedy się przed nim ukazała w całej pełni swojej urody, wyrzekł z powagą, z głębokim przekonaniem, a bez wszelkiej pruderyi: „Tak, jesteś istotnie piękną.“ Aktu tego nie śniło się nikomu, ani z jednej, ani z drugiej strony, nazwać bezwstydem.

Jeśli wieki średnie pogardziły pięknnością kształtów zewnętrznych, jeśli nagość uważały za rzecz grzeszną i gorszącą zarazem, to winien temu duch czasu, chłodna atmosfera, nie uznająca uczuć, wywołanych wrażeniem zewnętrznym, nastrój sztucznej metafizyki, połączonej z mędrkowatą uczonością, ascetyzm z jednej, sztuczna spekulatywność rozumowania z drugiej strony. Dopiero „quattrocento“ jako zawiązek, a „quinquecento“ jako rozkwit Renesansu, wielbią znów estetykę aktu, znajdują zadowolenie w kulcie piękności zewnętrznej. Zresztą Odrodzenie nosi tę nazwę dlatego, ponieważ było pod pewnym względem odrodzeniem klasycyzmu; więc też i gusta klasyczne odrodzić się w tym czasie musiały. Przedmioty z mitologii powracają znów jako motywy natchnienia dla mistrzów pendzla i dłuta, dla poetów i pisarzy. — Aby się przekonać, jak rozmaitem bywa pojęcie nagości, zobaczmy np. temat, tak często w dziełach sztuki się powtarzający, jak Adam i Ewa, przedstawiany przez artystów przeróżnych epok i rozmaitej kultury. Inaczej wyglądają pierwsi rodzice nasi z czasów wieków średnich, inaczej w epoce Renesansu. Inaczej pojmują ich Włosi, inaczej Flamandzi, Francuzi i Niemcy. — Łukasz Kranach namalował i Afrodytę, choć sądząc go tylko z jego sztywnych i drewnianych figur świętych, niktby go o coś podobnego nie posądził. Ale jak strasznie brzydka jest ta staro-niemiecka Wenus! Kształty ma wprost dzikie, nie wieje z niej wcale „kult piękności,“ ale jakaś tęsknota wychudzona, prawie zgłodniała... Albrecht Dürer nie tylko Madonny malował, nie tylko por-

tretę różnych notablów swego rodzinnego miasta; czasami rzucał się i na sceny „kąpiących się kobiet.“ I znów, jak Wenus Kranacha, wszystkie te panie są strasznie szpetne, a przytem sam artysta widocznie patrzy na piękność naga zupełnie innemi oczyma, aniżeli, nie tylko już klassycy, ale współcześni mu mistrze włoskiego Renesansu. Bo Dürer i Kranach, choć współcześni tym ostatnim, nie czują jeszcze w całej pełni „Odrodzenia,“ zdają się bliździe ciągle po wiekach średnich, mają coś z preraphaelizmu, nie rozumieją kultu piękna w pełnym tego słowa znaczeniu, co wszystko połączone z wrodzoną Niemcom czworograniastością i sztywnością, płodzi istne karykatury wdzięków, tak, że trudno przypuścić, by sami twórcy zadowolenie zmysłu piękna widzieć w tem mogli.

Tycyan, dziecko tego samego wieku, właściciel tych samych wieków, t. j. końca XV-go i połowy XVI-go, posiada już pod pewnym względem cechy przebujałości Renesansu. O przeszło sto lat młodszy od nich Rubens i Rembrandt, mianowicie pierwszy, lubuje się w nadmiernej obfitości kształtów, należy już do czasów baroku, a jednak pod względem pojmowania nagości, dużo ma wspólnego z pełną epoką Renesansu. Czasy rococo, z jednej strony zakrywają „akt“ mnóstwem strojów, sztucznością toaletowych środków, z drugiej, chcąc namalować nagość, zdobywają się już tylko na erotyczne „rozebranie.“ *La nudité* przestaje być *chaste*, jest zmysłową, podniecającą, potraça często o zwykłą pornografię. Jeśli Empire jest znów częściowym zwrotem ku czasom staro-rzymskim, to razem z tym pół-klassycyzmem powraca znów pojęcie klassyczne co do nagości. Ówczesny neo-klassyk Canova, przyczynił się potężnie do wznowienia kultu dla niej. To też, kiedy księżna Paulina Borghese pozować mu chciała do aktu, a jedna z dam jej dworu, towarzyszyć jej mająca do pracowni artysty, przestraszona zbyt śmiałem postanowieniem księżnej, zrobiła uwagę: „Czyżby wasza księżęca mość istotnie chciała?...“ — wtedy odrzekła jej księżna: „Boisz się, żebym się nie zaziębiła?... można przecie w piecu napalić...“

Od czasu Renesansu aż do epoki rococowej dekadencji uważano nagość za coś naturalnie pięknego; estetyka panuje najzupełniej po nad pruderyą. Liczne studia wszystkich pierwszorzędnych mistrzów przez przeciąg kilku stuleci, świadczą, że artystyczne uwielbienie kształtów jest niejako głównym motywem plastyki. Jeszcze tacy mistrze, jak Murillo i Velasquez, choć należą już do XVII-go stulecia, są pod tym względem wyznawcami naturalizmu Rubensa i Rembrandta. Erotykę we właściwym, dzisiejszym znaczeniu tego słowa, wprowadza dopiero wiek XVIII-ty. Już nie kult piękności, ale lubieżność panuje nad klassycznym dawniej „aktem.“ Sceny „buduarowe“ stają się poszukiwaniami, modnemi, zwłaszcza przy rozszerzeniu się miedziorytu i drzeworytu. Ale i tu są jeszcze różnice. Erotyczne sceny Fragonarda są wprawdzie pełne bezwstydu i bezczelności, ale jeszcze są artystyczne jako wykonanie. Późniejsi epigoni pornografów XVIII-go stulecia zaczynają już zaniedbywać nawet artyzm wykonania, Zaczynają się pojawiać erotyki w tanich re-

produkcjach, mnożą się różne okropności, malowane, rytowane lub koloryzowane, coraz częstsze i coraz bardziej tandetne, aż nareszcie wytwarza się w tym kierunku cały rodzaj specjalny, gdzie już o wykonanie artystyczne wcale nie chodzi, ale o sprośność samego przedmiotu. Równocześnie z tem wytwarza się i fałszywa pruderya, nie rozróżniająca nagości jako piękna z jednej, jako pozoru do przedstawienia bezwstydu erotyki z drugiej strony. Pod tym względem posiadali starożytni smak daleko bardziej wyrobiony, rozróżniając bardzo trafnie estetyczne piękno kształtów od celowej erotyki — bo i tę znano już podówczas, jak o tem świadczą liczne freski odkopywane w Herkulauum, „muzeum sekretne“ w Neapolu i wiele innych zabytków.

Kto wyznaje zasadę, że dobry smak i moralność iść powinny zawsze w parze, a nawet w gruncie posiadać cel wspólny, to samo chwając i ganiąc to samo, ten znajdzie w dziejach ubiorów ludzkich najlepsze potwierdzenie dla swej opinii. Znaczenie ubiorów i odzwierciedlenie w nich estetycznej kultury danej epoki, stanowić mogą poważne a pouczające studium dla każdego, kto umie z cech zewnętrznych wewnętrzną wartość ocenić i w sposób trafny ją odgadnąć. Malarz nie tylko wzoruje i odtwarza kostiumy swych czasów. Zbadawszy bliżej, przekonamy się, że np. pewne kolory sukien modne w danym okresie w strojach, znajdują się równocześnie na palecie malarskiej; ornamentyka zaś, jej styl, smak i przewodnie motywa, odbija się na kroju sukien i ubiorów, oraz na sposobie ich noszenia. Jest to, jak już mowa była o tem w jednym z poprzednich rozdziałów, pewnego rodzaju błędne koło. Nie wiadomo co oddziaływa w pierw i co silniej: życie na dzieła sztuki, czy dzieła sztuki na życie. Niedawne, a nawet najnowsze czasy są tego dowodem. Trudno dziś, nawet współczesnym, stwierdzić stanowczo, czy rozmaite objawy dekadentyzmu stały się w pierw modne w sztuce, czy w ubraniu; czy przypłaszczono na skroniach fryzury damskie à la Botticelli, lub jeszcze z dawniejszych wzorów, nastąpił pierwej, aniżeli dziwna mania naśladowania preraphaelistycznego stylu w malarstwie, czy też było przeciwnie; czy t. zw. „secessya“ objawiła się naprzód w bezcelowości kształtów mebli, zupełnie do właściwego użytku niezdatnych, czy też w równie bezcelowych skarżach, niewytłómaczonych jękach, nieumotywowanych rozpaczach różnych rozczochranych i poronionych geniuszów w poezji i sztuce i t. d.

Są to wszystko kaprysy, zapładniające się nawzajem a wytwarzające w różnych kierunkach, na pozór nie ze sobą wspólnego nie mających, bardzo podobne objawy. Jest to właśnie znów owo tajemnicze tchnienie Mody, zrodzone niewiadomo gdzie, którego pierwotnego źródła niepodobna określić i zbadać. Umiemy tylko stwierdzić fakt, skonstatować, że tak jest; dlaczego tak jest i z kąd to istotnie powstało — byłoby pytaniem równie bezcelowem, jak niepodobnem do zgłębienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Wystawa szkoły im. Adama Badowskiego.



P. Krywult w jednej z sal swego „Salonu“ udzielił gościny wystawie uczennic szkoły artystycznej dla kobiet p. Wąsowskiej-Badowskiej. Zaraz na wstępie powiem: bardzo sympatyczna wystawa. Mało która z ekspozycji szkolnych tak mi przypadła do gustu, jak ta uczennic szkoły imienia niezapomnianej pamięci Adama Badowskiego.

Sympatyczne wrażenie robi ta wystawa przede wszystkim dlatego, że tu niema jak zazwyczaj na tego rodzaju ekspozycjach, „sztuki dla popisu,“ sztucznie, forsownie, ni by kwiaty w zimie, pędzonych objawów talentu, ale że natomiast wszystko co jest, świadczy zarówno o dobrej metodzie nauczania, jak i o ciągłym postępie i o pracowitości uczennic

P. Wąsowska-Badowska i grono artystycznych kierowników jej szkoły: pp. Ryszkiewicz, Kausik, Budzyński, Chrzanowski i Muszyński mogą być dumni z rezultatów swej pracy. Może niejedna z ich uczennic będzie kiedyś chlubą polskiego świata artystycznego.

Choć to może nie pedagogicznie, nie umiem się powstrzymać od zrobienia komplementu, za szczególniejsze udałe studia, pannom: Janinie Bakanowskiej, Maryi Blomberżance, Wandzie Jentysównie, Janinie Jurkowskiej, Celinie Ostrowskiej i Zofii Wismontównie.

x.



## Kronika działalności kobiecej.



— Powracając dziś jeszcze do zakładu 5-tej Marty, o którym, z powodu urządzonej w zeszłym tygodniu wystawy, już wspominaliśmy, dodać musimy, że jest to zakład zasługujący ze wszęch miar na uznanie ogółu, nietylko za znakomicie, prawdziwie wystawowo wykonane roboty, lecz i ze względu na swe założenie.

Dziewczęta, z których każda, doszedłszy do najpierwszych zasad szycia, otrzymuje płacę, pod kierunkiem uzdolnionej specjalistki, uczą wzajemnie jedna drugą i one to właściwie utrzymują zakład, to jest zarabiają na swoje i zakładu potrzeby. Pośród pracujących są uczennice płacące za kurs nauki szycia lub haftu 24 rubli, inne zaś, biedne dziewczątka, uczą się darmo, a nawet otrzymują obiad, albo chociaż zdrową i posilną supę.

Roboty wykonywane w zakładzie 5-tej Marty są ostatnim wyrazem elegancji i subtelnej wykończoności, a że wykonywane są przy tem z najwytowniejszych, najlepszych materiałów i podług najświeższych modeli, śmiało więc rzec można, iż ustaćby powinien zwyczaj przywożenia z zagranicy przedmiotów, wchodzących w zakres prac tak znakomicie wykonywanych u nas.

— Paryż. Ciekawe są statystyczne dane, zebrane przez specjalnie ku temu zorganizowaną komisję w Paryżu, odnoszące się do interesów i fabryk ze strojami damskimi i różnemi szczegółami stroju.

Wszystkie magazyny, nadające ton modzie, a więc najwykwintniejsze, gnieźdzą się obecnie przy ulicy de la Paix, albo przy placu Vendôme. Na parterze mieszczą się magazyny złotnicze i jubilerskie, ze swemi błyszczącymi, artystycznymi wyrobami i na piętrach, aż do czwartego, piątego, najświetniejsze firmy z ubraniami damskimi. Są to rzeczywiście olbrzymie pracownie, zatrudniające od 400 do 600 pracownic, dwie nawet z pośród nich

zajmują ich po 1,000 Ład i porządek panują wszędzie wzorowy.

W pracowniach tych robotnica zaczyna swą karierę, jako młode dziewczątka używane do posyłek, z pensją od 20 — 30 fr. miesięcznie. — Następnie, jako uczennica (*petite main*) otrzymuje od 40 — 60 fr. miesięcznie. Wykwalifikowane szwaczki pobierają od 75 do 150 fr., to jest od 3-ich do 6 ciu franków dziennie. Przędownice w pracowni — *premières* — nierzadko dochodzą do 15,000 fr. rocznie. One to kroją powierzone im materiały i rozdają robotę pomiędzy pracownice. Zarządzające magazynem, *les préposés à la manutention* odmierzają materiały, podszewki, koronki, przybrania i t. p. *Essayeuses* (panny do przymierzania) przedstawiają gotowe ubrania i muszą posiadać wszelkie ku temu zalety. *Les vendeuses* (sprzedające), muszą posiadać wiele taktu, poważne i miłe obejście, oraz doskonale rozwinięty zmysł kupiecki. Ich to obowiązkiem jest klientce doradzać, z nią razem wybierać i jak największe zdobywać zaufanie. Oprócz stałego wynagrodzenia od 8-ju do 10 ciu tysięcy fr. rocznie, otrzymują tantiemę, która dochodzi do 50-ciu, 60-ciu tysięcy franków rocznie. *Les mannequins* (modele, manekiny), są to piękne, dobrego wzrostu osoby, smukłe, cienkie w pasie, rekrutowane niekiedy z najlepszych, a podobnych sfer towarzyskich. Ubrane w czarne jedwabne suknie, od 10-jej do 6-jej siedzą w swoim saloniku, codzien uczesane przez dobrego fryzjera. „Panna Nina raczy włożyć suknię Nr. 6-ty,” mówi przez drzwi „sprzedająca.” I za chwilę panna Nina, dystygowana, piękna, staje przed klientką, ubrana w strój wskazany.

Dla każdego modelu, na każdy sezon przygotowanych jest 6 ubrań odmiennego przeznaczenia, z których dwa zazwyczaj przechodzą na własność modelu. W dużych magazynach liczba modeli waha się od 15-stu do 20-stu.

Liczba godzin pracy trwa od godziny 9 tej do 8 ej, z przerwą godziną na południowe śniadanie. Warto o tej porze przejść się przez plac Vendôme i zobaczyć taki tłum 20-tysięczny młodych, zręcznie ubranych, szykowanych i po większej części wesółych kobiet. — Modystki, (inny dział pracownic igły) także wolne są w południe (z tą midinettes), nie łączą się ze szwaczkami i stanowią grupę odrębną, podzieloną na też same, wyżej wymienione stopnie.

— Heidelberg. Zmarła przed kilku miesiącami staruszka, panna Eleonora Wallot, znana filantropka i protektorka ruchu kobiecego, pozostawiła z ogromnego swego majątku fundusz, od którego odsetki stanowią będą 4 stypendya dla studentek przy uniwersytecie w Heidelbergu. Stypendyum wynosić będzie najmniej 500 marek. Według słów testamentu prawo do stypendyi będą miały studentki, bez różnicy wyznań, odznaczające się moralnością i zdolnościami. Do komisji uniwersyteckiej należy sprawdzanie: stanu majątkowego, uzdolnienia i moralności kandydatek.

— Po obronie rozprawy p. t.: „Wojna z 1859-go roku,” otrzymała panna Anna Mittelstadt przy uniwersytecie tutejszym stopień doktora filozofii.

Z. S.

## Kronika.

— Warszawskie Towarzystwo Muzyczne przekształciło się zupełnie na szkołę, kierującą umiejętnie młodemi talentami pod przewodem dyr. B. Domaniewskiego. Obecnie uczęszcza ogółem 150 uczniów i uczennic; w tej liczbie 92 przypada na klasę fortepianu i 38 na klasę śpiewu

solowego. Nowo-zorganizowana klasa śpiewu prowadzona jest przez artystę-śpiewaka A. Myszugę. Lokal szkoły mieści się przy ulicy Miodowej № 12.

— Proszeni jesteśmy o przypomnienie, iż Salon Krywulta otwiera w pierwszych dniach przyszłego miesiąca wystawę pod ogólnym tytułem „Dwór polski.” Zebrany dotychczas materyał przedstawia się bardzo obficie.

Inicytorzy wystawy zwracają się do artystów i miłośników sztuki i właścicieli dworów o łaskawe nadsyłanie rysunków, rycin i fotografii pod adresem Salonu Sztuk Pięknych Jana Krywulta, Nowy Świat № 63.

W dzisiejszych czasach rozpowszechnienia fotografii amatorskiej, przypuszczać należy, iż uda się zebrać bogaty materyał z najodleglejszych zakątków kraju, które zapewne obfitują w najcharakterystyczniejsze zabytki dawnego budownictwa. W dziale twórczym i odtwórczym przeznaczone zostają dla panów artystów i architektów cztery nagrody po rubli 50, dwie ze strony Salonu J. Krywulta i dwie ze strony redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego.”

— Filharmonia warszawska niezależnie od „piątków symfonicznych,” ogłosiła abonament na dwanaście wieczorów filharmonijnych, które odbywać się będą co drugą środę w porządku następującym: Pierwsza Środa dnia 9-go Listopada: Jarosław Kocjan i tenor włoski Gandolfi; dnia 23-go t. m. p. Artot-Padilla i Henryk Grünfeld; dnia 7-go Grudnia: Myszuga, Wierzbilowicz, Surzyński; dnia 4-go Stycznia: Henryk Marteau i Marya Langie; 18-go Stycznia Aleksander Michalowski, Paweł Kleczkowski (uczeń Cotoniego), Nachez; 1-go Lutego Arigo Serato i młodzieńca wiolonistka włoska Giulermina Suggia, oraz p. Solka ze Lwowa; 1-go Marca Klotylda Kleber i prof. Juliusz Klengel; 15-go Marca Paweł Kocharński, Emma Raabe (uczennica Kocharńskiego), de Greef (pianista holenderski); 29-go Marca soliści z Beyreuth: baronowa Osborne i d-r Kraus; dnia 5-go Kwietnia Alfred Reisenauer i Gustaw Bordes (z Paryża); 12-go Kwietnia ostatni wieczór: „Stabat Mater” Rossini’ego w wykonaniu kompletu medyołańskiej La Scali. Na każdym z tych wieczorów wykonywane będą nieznanne u nas utwory symfoniczne z skarbnicy arcydzielnicy literatury wszechświatowej.

— Staraniem Wszechsłowiańskiego Związku w Cleveland, w stanie Ohio (Ameryka półn.), urządzoną zostaje w listopadzie roku bieżącego słowiańska ludowa wystawa rękodzielnicza. W tym celu, jako działanie przedwstępne związek wydał broszurę, zaznajamiającą nas z celami organizacyi, historią i działalnością dotychczasową Słowian na drugiej półkuli.

Jako jedno z zadań swego programu zrzeszenie stawia wykształcenie w jak najszerszym zakresie.

„Obok oświaty, — bźmią słowa broszury, — niezbędnej dla prawidłowego i pomyślnego rozwoju narodu, koniecznym jest, aby każdy z nas pozbył się swych wad. Naszą najgorszą wadą jest *zawiść*. Zawiść, która każe podejrzawać dobre chęci, która podaje w wątpliwość szczerłość uczuć, która w waśniach wewnętrznych używa oszczerstw i potwarzy, i z braci, do jednego celu różnemi drogami dających, czyni wrogów śmiertelnych.”

Związek postawił sobie za zadanie pracę nad podniesieniem rasy słowiańskiej pod względem kulturalnym, moralnym i materyalnym. Każdy, komu dobro ogólne leży na sercu, może się zapisać na członka, i za opłatą pięciu centów należeć do związku.

W obecnej dobie rozwoju i cywilizacyi, niezbędną jest wymiana myśli, produktów swej pracy, oraz zaznajomienie innych ludów ze swą sztuką i życiem społecznym.

Oprócz celów moralnych i wychowawczych, wystawa ma na widoku i cele materyalne: otwarcie rynku zbytu dla wyrobów słowiańskich w Ameryce.

Wystawa składać się będzie z następujących oddziałów:

1. Wystawa rozmaitych przedmiotów z dziedziny ornamentyki i użyteczności domowej, jako to: hafty, tkaniny, plecionki, naczynia domowe, koronki, przeróżne druki, rysunki, słowem wszystko, co wykazuje narodowy gust i smak.
2. Fotografie, szkice i t. p. widoki miast i krajów, by zainteresować turystów i zwrócić uwagę Amerykanów na piękność ziemi słowiańskiej. Zbiór czasopism i publikacyi.
3. Dział przemysłowy i handlowy.
4. Oddział muzealny na pomieszczenie przedmiotów i zabytków historycznych.

Podczas trwania wystawy przygrywać będzie orkiestra, wykonywując słowiańskie pieśni ludowe.

Ponieważ urządzenie rzeczzonej wystawy pociąga za sobą znaczne koszta, przeto związek zwraca się z prośbą do osób pojedynczych, Towarzystw i instytucyi o poparcie finanso-

we. Zarząd wystawy sprzedawać będzie bilety wstępu na cały czas trwania wystawy, t. j. na dni sześć — od 21-go do 27-go p. m., za opłatą 1 dolara. Za jednorazowy wstęp płaci się 25 centów. Jeśliby kto zamierzał wziąć udział w niniejszej wystawie lub interesował się sprawami z nią związanymi, zechce się zwrócić po szczegółowe objaśnienia do Związku Wszechsłowiańskiego, pod następującym adresem: Cleveland — Ohio — The Slavic Alliance — Hamlet str. 16.

Broszura wydana nakładem i staraniem Związku Wszechsłowiańskiego w Cleveland, drukowana jest w językach: polskim, czeskim, słowackim i słowińskim i oprócz opisu historii, zadań i celów Związku, zjednoczonych z projektowaną wystawą, zawiera wskazówki hodowli kwiatów. Odezwą do czytelników skreślona jest porady i z widocznym umiłowaniem zachęca do pielęgnowania kwiatów w naszych domach, ogrodach, na ulicach: jednym słowem wszędzie, aby życie nasze uczynić na zewnątrz estetyczniejszym i powabniejszym.

— „Jeżeli tylko uszlachetnimy swą naturę przez zamilowanie do piękna, i przez chęć szukania tegoż w codziennem otoczeniu naszym, to pozyskamy niewyczerpane źródło szczęścia i natchnienia do lepszego życia i wyższych celów.”

„Kwiaty były od wieków symbolem naszych uczuć. Umieszczamy je na grobach naszych drogich zmarłych; posyłamy kwiaty cierpiącym i nieszcześliwym; ofiarujemy je przyjaciółom w dowód pamięci i życzliwości, ścielemy je na drogę życia oblubieńcom; one upiększają nasze parki i nadają mniej ponury wygląd naszym cmentarzom, nie ozdabiamy nasze świątynie w dniach wielkich uroczystości: rzucamy kwiaty pod stopy bohaterów, słowem w każdej chwili życia służą nam one do wyrażenia prawdziwej radości i głębokiego smutku...”

Nadto pielęgnowanie kwiatów rozbudza w nas zamilowanie do piękna, ład, wdraża do czystości i porządku, uczy cierpliwości i wytrwałości. W dalszym ciągu broszura podaje gatunki roślin łatwych do hodowania ze wskazówkami, jak się z nimi obchodzić należy, aby osiągnąć pożądaną wyniki. Uczmy dzieci nasze zamilowania do kwiatów, a co za tem idzie „zamilowania do piękna i przyjemności życia.”

— Dnia 15-go b. m. zmarł w Pillnitz pod Dreznem król saski Jerzy.

## ODPOWIEDZI.

— Pani M. Sucharowskiej w *Kopyczyńcach*, — Prosimy o łaskawe nadesłanie dokładnego adresu (ostatniej stacyi pocztowej).

— Do niniejszego numeru „Bluszezu” dołącza się dla wszystkich prenumeratorów „Cennik pracowni bielizny i haftu” Marty Małkowskiej i S-ki.

### Treść numeru:

Cudze oczy, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Pogawędka, przez A. Głisczyńskiego. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy). — Et ego olim in Arcadia fui... (wiersz), przez Janinę S. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę Łopuszańską (ciąg dalszy). — Z literatury francuzkiej, przez eż. — Dwie opinie, przez Gilberta. — Psychologia mody, z niemieckiego podług W. Fred’a (ciąg dalszy). — Wystawa szkoły im. A. Badowskiego, przez x. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kronika. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 12-ty „Robotnic w Stanach Zjednoczonych” Van Vorst’a, w przekładzie J. P.

Dodatek: do N-ru 40-go: Opis ubiorów i robót (rycyn 16). — Przepisy kuchenne.

# Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana

(Redakcja i Administracja — Nowy-Swiat № 47).

Pragnąc uprzystępnienie szerokim kołom inteligencji nabycie cennego wydawnictwa „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Ilustrowanej”, której dotąd ukazało się 36 tomów dużego formatu, Administracja

**dostarcza odrazu wszystkich dotąd wydanych tomów (18 ksiąg) w ozdobnej, złoczonej oprawie**

każdemu, kto przy odbiorze wniesie tytułem zaliczenia rubli 10

zobowiąże się resztującą należność spłacić w ratach miesięcznych po rubli 5.

Należność za wydane dotąd 36 tomów (18 ksiąg) w oprawie ozdobnej wynosi z poczynionymi od ceny pierwotnej ustępstwami rubli 130. Sumę tę odbiorca, otrzymujący od razu całość wydawnictwa, spłaci tedy ratami w ciągu lat dwóch.

Dotychczasowe tomy obejmują artykuły od **A** do **Karyszew (serja I-a)**, oraz od **N** do **Nikator (serja II-ga)**. Dalsze tomy wychodzą zeszytami **co tydzień** po jednym z każdej serji. Całość ukończona zostanie w ciągu lat kilku.

Następne tomy, w miarę wyjścia, dostarczane będą nabywcom „Encyklopedii”, a należność za nie może być uiszczona również ratami miesięcznie po **rubli pięć** do czasu pokrycia ceny za nie, licząc po rub. 9 k. 60 za każdą księgę oprawną (oprawia się 2 tomy w jedną okładkę). Bieg tych nowych rat rozpocznie się po pokryciu sumy rub. 130, jako należności za pierwsze 36 tomów (18 ksiąg oprawnych). Koszt przesyłki po za Warszawę ponosi odbiorca.

Towarz. Udoskonalonej Perfumeryi  
**A. RALLET & Co**  
Dostawcy Dworu  
WARSZAWA, UL. WIERZBOWA № 7.

Poleca:  
Perfumy,  
Mydła i  
Wodę Kolonjską

## „Szampaca“

Do nabycia w Perfumeryach i Skł. Aptecznych.

## GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w WARSZAWIE, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55.

Poleca na sezon jesienny:

**Płótna, Stołową bieliznę, Ręczniki Chustki i t. p.**

**Wyroby pończosznicze**

**Bieliznę męską białą i kolorową**

**Flanele, Barchany, Materjały puchowe**

**Firanki, Dywany, Portjery, Kapy na łóżka, Pledy.**

**Kołdry watawane, pluszowe, flanelowe i t. p.**

**Drelichy na rolety i materace.**

**Oddział damskiej konfekcji** posiada w wielkim wyborze:

**Bluzki, Szlafroczyki, Peniuary, Spódniczki,**



oraz **gotowe wyprawy od Rb. 100.**

**Na zamówienie**, bielizna stołowa z wrobionymi herbami i znakami.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

## L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuzkie.  Najlepszy krój koszul męzkich. 

## Niespodzianka dla Pań!



Nowo - wynaleziona maszyna „**HAFTOGRAF**” do artystycznego wyszywania; XX wiek tak bogaty w rozmaite wynalazki, i dla pań przyniósł iście piękną nowinkę „**Haftograf**”, za pomocą którego każda z pań, bez poprzedniego przygotowania i żadnego trudu może wyszywać na serwetach, dywanach, portjerach, poduszkach i t. p. rozmaite desenie. Robota bardzo przyjemna, nieszkodliwa dla wzroku, nie męczy organizmu. Za pomocą „**Haftografu**” można wyszyć w godzinę więcej niż ręką przez cały dzień. „**Haftograf**” zagranicą tak jest rozpozszechniony, że prawie niema domu, gdzieby go nie używano. Stanowi to bardzo przyjemną rozrywkę.

Cena z przesyłką rub. 4 kop. 85, za zaliczeniem 10 kop. drożej. Ilustrowany sposób użycia dołącza się bezpłatnie.

Piękne desenie w rozmaitych kolorach do haftu poduszek po 20, 25, 30 i 40 kodla. sztuka, do haftu dywanów 40 kop. Prosimy się przekonać. Nie dla zarobku, lecz dla próby wartości „**Haftografu**” wysyłamy fantazyjny deseń w cenie 3 rb. na prześliczną poduszkę wyhaftowaną na dobrem kolorowym suknie.

Prosimy o odwołanie się na niniejsze pismo.

J. FRANCUZ, Królewska Nr. 49 P. w Warszawie.

Wydawca: *Piotr Laskauer*. — Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Октября 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41

BIURO NAUCZYCIELSKIE

GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

## Sklep

## TERESY WILKOŃSKIEJ

przeniesiony został z Chmielnej 25 na **Marszałkowską 92** i poleca oprócz guń, sukmanek, serdaków i t. p. od września nowo otworzony dział tanich ubrańek dziecińczych.

Pierwszorządne Biuro Nauczycielskie

**B. GOLCZEWSKIEJ**, Marszałkowska 94  
Poleca: Nauczycieli, nauczycielki, bony polki, niemki, francuzki sprowadza z zagranicy angielski.

W ZAKŁADZIE

## HELENY KUCZAŁSKIEJ

Moniuszki 9.

stosuje się pod kierunkiem **dr. Sławińskiego** gimnastyka szwedzka lecznicza, z masażem dla wątłych nerwowych, ze skrzywieniami kręgosłupa, nierównościami łopatek i w rozmaitych innych wypadkach, oraz pedagogiczna w kompletach dla dzieci, dla dorastających, dla pań starszych, dla chłopców. Nauczycielki wysyłają się na miasto i na wieś.

ORYGINALNE MASZYNY DO SZYCIA  
KOMPANJI  
**KEMPISTY KASPRZYCKI**

Najwięcej gwarantowane za gotówkę i na raty

  
**!!! Najtaniej !!!**  
Sprzedają magazyn  
Warszawa,  
od Trębackiej,  
Nowosenatorska № 8.  
Lublin,  
Krakowskie-Przedm.  
Nr. 196  
naprzeciw Św. Ducha.  
Kielce,  
ul. Duża Nr. 15  
dom W-go Kozarkiewiczza

Kompania **KEMPISTY KASPRZYCKI**  
**!!! 60 % taniej !!!**  
sprzedajemy maszyny systemu Singera  
ręczna Rb. 16.      nożna Rb. 22.

Biedna wdowa po urzędniku, z małym synkiem, ułomnym, uprasza o laskawą pomoc na życie i jakakolwiek odzież.

Adres: Ogrodowa 52 m. 35. Gruszecka.

Dr. **OSKAR GOLDBERG**

AKUSZER powrócił

**Wielka 47.** — Telefon 4670.

## KWIATY SZTUCZNE

### J. KIEŁKIEWICZ

## NIECAŁA IO.

Na sezon jesienny poleca w wielkim wyborze kwiaty do kapeluszy, balowe, oraz girlandy ślubne; podług modeli paryskich. Ubieranie żardinier, koszów, wazonów; rośliny doniczkowe. Dekoracje stołowych pokoi pięknymi owocami sztucznymi

Ceny niskie

Wydawca: *Piotr Laskauer*. — Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Октября 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Swiat 41